»ZŁOTY SZLAK«

ROCZNIK I 1938 ZESZYT 4

WYDAWCA: TOWARZ. PRZYJACIÓŁ NAUK W STANISŁAWOWIE

REDAKCJA I ADMINISTR.: STANISŁAWÓW, GRUNWALDZKA 11
POKÓJ I TELEFON WEWN. NR 16 – CZYNNA WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY OD GODZ. 17–19

WARUNKI PRENUMERATY ROCZNIE: a) W KRAJU: ZŁ 10,– b) ZA GRANICĄ: ZŁ 15
CENA POJEDYNCZEGO ZESZYTU W KRAJU ZŁOTYCH 3, ZA GRANICĄ ZŁOTYCH 5

CZŁONKOWIE TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK w STANISŁAWOWIE PŁACĄ W PRENUMERACIE ROCZNEJ: w KRAJU ZŁ 8, ZA GRANICĄ ZŁ 13 * INSTYTUCJE I STOWARZYSZENIA KULTURALNE I OŚWIATOWE, BIBLIOTEKI I SZKOŁY W PRENUMERACIE ROCZNEJ: w KRAJU ZŁOTYCH 9, ZA GRANICĄ ZŁOTYCH 14

ADMINISTRACJA PROSI O WPŁACANIE PRENUMERATY NA KONTO CZEKOWE W POCZTOWEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI »NR 510.360 TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W STANISŁAWOWIE«

SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA ROMANA JASIELSKIEGO, STANISŁAWÓW, ULICA SAPIEŻYŃSKA 4

TŁOCZONO: ST. CHOWANIEC, DRUKARNIA I LITOGRAFIA STANISŁAWÓW, ULICA SAPIEŻYŃSKA 4

»ZŁOTY SZLAK«

ROCZNIK I ✷ GRUDZIEŃ 1938 ✷ ZESZYT 4

KWARTALNIK POŚWIĘCONY KULTURZE ZIEMI HALICKIEJ ✷ ORGAN TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK W STANISŁAWOWIE ✷ WYCHODZI W TRZECIM MIESIĄCU KAŻDEGO KWARTAŁU: W MARCU, CZERWCU, WRZEŚNIU I GRUDNIU

REDAKTOR: JANUSZ MIKETTA, STANISŁAWÓW

OKŁADKĘ I UKŁAD GRAFICZNY PROJEKTOWAŁ JAN SZCZERBETKO, STANISŁAWÓW ✷ KLISZE WYKONANO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH B. WIERZBICKIEGO I SPÓŁKI W WARSZAWIE

TREŚĆ ZESZYTU CZWARTEGO:



Widok miasteczka Skolego nad rzeką Opór w cyrkule Stryjskim
Rys. Antoni Lange z lit. Pillera we Lwowie wykonana około 1840.
(Ze zbiorów Muzeum im. XX. Lubomirskich w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie – ryc. 4848 wymiary oryginału 34·5 x 43)

TATARZY W KARPATACH W 1594 R.

EPIZOD Z NAJAZDÓW TATARSKICH NA POLSKĘ

ROK 1594 zaczął się pod wróżbą ważnych politycznych wypadków. Zapowiadał je stan ówczesnej, środkowej Europy, która żyła jakby na wulkanie pod brzemieniem ciągłej obawy, że dzień każdy może przynieść zagładę jej wiary i cywilizacji. Przynieść ją od Wschodu, gdzie półksiężyc muzułmański świecił całą pełnią swego groźnego blasku. Zaborczy, zawsze dotąd zwycięski, jego oręż, dotykał w tym czasie Karpat i brzegów Dniestru. Księstwa naddunajskie, Multany i Mołdawia, biły czołem przed tronem padyszacha, a sam cesarz niemiecki, jako król węgierski, płacił mu roczną daninę trzydziestu tysięcy dukatów. Z wyjątkiem Anglii, Francji i Skandynawji reszta Europy drżała przed potęgą turecką i przemyśliwała nad tym, co czynić, by kres jej położyć.

W R. 1593 papież Klemens VIII podniósł myśl powszechnej wyprawy przeciw Turkom i wielką w tym względzie rozwinął akcję. Myśl ta w pierwszej chwili zelektryzowała świat katolicki, wykonanie jej jednak nieprzezwyciężone przedstawiało trudności, a tym czasem położenie stawało się coraz krytyczniejsze. Turcja pierwsza wystąpiła zaczepnie. Rozstrzygające, zacięte zapasy krzyża z półksiężycem lada dzień miały wybuchnąć na Węgrzech.

CESARZ NIEMIECKI Rudolf II, najbardziej zagrożony, poparł gorąco myśl papieża, zbierał wojska, ale nie czując się na siłach na wsze strony rozsyłał posłów, szukał sprzymierzeńców, rozbijał się o pomoc innych państw. Nie mogły mu jej udzielić zawistne państwa zachodnie, Francja i Anglia, związane z Turcją przymierzami i nieżyczliwe Habsburgom. Hiszpania musiała się mieć na baczności przed Francją. Skandynawia była obojętna. Wenecja pragnęła zachować neutralność, a protestanccy książęta Rzeszy nie zapalali się, by nieść pomoc katolickiej, ich zdaniem, sprawie. Pozostawały tylko państwa wschodnie, pośrednio lub bezpośrednio zagrożone: Polska, Moskwa i księstwa Siedmiogrodu, Multan i Mołdawii. Na nich to zarówno papież, jak cesarz, oparli całą nadzieję pomocy i nie szczędzili obupólnych w tym względzie zabiegów, aby ją od nich uzyskać. Nadto obaj szczególniejszą zwrócili uwagę na czynnik, który dotąd w polityce europejskiej żadnej nie odegrał roli, co więcej wszelkich dołożyli starań, aby ten czynnik wciągnąć do akcji wojennej. Byli nim podlegli Polsce Kozacy dnieprowscy, tworzący w tym czasie żywioł jeszcze nieliczny, na pół koczowniczy, luźnie zorganizowany, złożony z ludzi żyjących przeważnie z łupieży, bez dyscypliny wojskowej i wszelkiej wyższej idei. Na podstawie przesadnych wiadomości w oczach tak dworu austriackiego, jak i Rzymu, żywioł ten, zresztą nieznany im bliżej, wyrósł nadspodziewanie do rzędu opatrznościowych rycerzy krzyża, których za wszelką cenę należało pozyskać do walki z niewiernymi.

UCZYNIONO TO w największej tajemnicy przed Polską za pośrednictwem usłużnego agenta, Stanisława Chłopickiego i posła cesarskiego, Eryka Lassoty. Kozacy, ujęci przez nich darami i pieniądzmi, podburzeni pismami cesarza, sławiącymi ich

rycerskość, przyrzekli urządzić wyprawę na posiadłości tureckie, choć polskie konstytucje sejmowe (1590) najostrzej zabraniały im tego.

W REZULTACIE tych zabiegów Moskwa, księstwa Siedmiogrodu, Mołdawii i Multan przyrzekły współdziałanie, w którym Kozacy niepoślednią mieli odegrać rolę. Rozchodziło się tylko o pozyskanie Polski, aby dywersją ze swej strony rozerwała siły tureckie. Pod tym względem w Polsce wielkie zachodziły trudności, utrzymanie bowiem pokoju z Turcją było właśnie hasłem polityki polskiej, a głównym jej rzecznikiem był kanclerz w. kor. Jan Zamojski, który nie dowierzał przymierzu z Habsburgami. Za jego wpływem Sejm już w r. 1593 uchwalił neutralność.

MIMO NEUTRALNOŚCI, nie obeszło się, że wojna turecka i na polskiej odbiła się ziemi. W r. 1593 zawrzały pierwsze boje na Węgrzech, dokąd sułtan Murrad III potężne ze wszech stron wyprawiał wojska. W ich liczbie wezwał na pomoc i hołdowniczych Tatarów krymskich. Wpaść od północy do Węgier, na tyły walczących, rozdzielić ich siły, oto było zadanie, które miał wykonać chan tatarski, Kazy - Gerej, a droga najkrótsza ku temu prowadziła przez Polskę.

POSŁUSZNY sułtańskiemu wezwaniu chan, przyrzekł stawić się z całą swą hordą i w największej tajemnicy zaczął gotować się do dalekiej wyprawy. Aron, hospodar mołdawski, już z początkiem lutego 1594 r. dowiedział się o niebezpieczeństwie, otrzymał bowiem od chana wezwanie, aby przygotował zapasy żywności i swobodnie przepuścił hordę przez swe państwo. Hospodar sprzyjając sprawie związku chrześcijan przeciw Turkom, natychmiast (6 lutego 1594) rozesłał listy i nie kryjąc się z obawami co do kierunku przechodu tatarskiego, przestrzegał o nim cesarza Rudolfa II, księcia siedmiogrodzkiego, Zygmunta Batorego, wodzów cesarskich na Węgrzech, a przede wszystkim Polskę, od której w tej chwili najwięcej zależało.

CESARZ RUDOLF II, zaraz po otrzymaniu hospodarskiego ostrzeżenia, co rychlej pchnął do Polski specjalnego posła, Jana Macieja Wackherra z gorącą prośbą o zawarcie przymierza przeciw Turkom i o nieprzepuszczenie Tatarów „przez ziemię koronną".

KRÓLA ZYGMUNTA III nie było właśnie w tym czasie w Polsce, przed sześciu bowiem miesiącami wyjechał do Szwecji, aby tam opróżnioną po ojcu objąć koronę. W zastępstwie jego rządy państwa sprawował prymas, Stanisław Karnkowski. Ten, dla dania odpowiedzi posłowi natychmiast zwołał Radę Senatu. Odpowiedziano, że „o przymierzu nie można stanowić bez króla", przyrzeczono natomiast, że Tatarom przejście będzie wzbronione. Zarazem w osobnym piśmie wytknięto i wyrażono żal, że cesarz przez swoich wysłanników podburza Kozaków niżowych, poddanych polskich, do najazdów na ziemie tureckie, aby w ten sposób wciągnąć Polskę do wojny z Turcją.

RÓWNOCZEŚNIE PRZYBYŁ do Warszawy i czausz czyli poseł sułtański, Hussein, z prośbą, żeby Polska przymierza z Turcją nie zrywała. Oświadczył nadto, że Turcja wojnę na Węgrzech już rozpoczęła, że na pomoc wezwała Tatarów i pro-

sił o powstrzymanie najazdów kozackich. Czauszowi odpowiedziano, że Polska pragnie żyć z Turcją w przymierzu, Kozaków jednak, jako ludzi swawolnych nie łatwo może powstrzymać, da jednak starostom pogranicznym polecenie, aby trzymali ich na wodzy, żąda natomiast, aby Tatarzy zaniechali najazdów i nie naruszali wzajemnej zgody.

WOBEC TEGO ostrzeżenie hospodarskie z niedowierzaniem przyjął Jan Zamojski. Dopatrywał się w nim podstępu, mającego na celu zbadanie, o ile są szczere zamiary Polski co do neutralności w toczącej się już wojnie. Nie przypuszczał bowiem, żeby Turcja wezwawszy Tatarów na pomoc, kazała im „gwałtem" przechodzić przez Polskę, a tym samym na własną szkodę zrywała z nią przymierze i popychała do wzięcia udziału w wojnie. A gdyby nawet tak chcieli zrobić, w takim razie chcąc dostać się do Węgier, musieliby przedzierać się przez wyniosłe, bezdrożne grzbiety Karpat, co wydawało się kanclerzowi rzeczą tak trudną do uskutecznienia, że w pierwszej chwili był gotów całe ostrzeżenie policzyć do rzędu bezpodstawnych wieści.

Z RÓWNYM niedowierzaniem przyjął je i Krzysztof Tiefenbach, naczelny wódz armii cesarskiej na Węgrzech. „Nie przypuszczam, pisał do arcyksięcia Macieja, by Tatarzy chcieli iść przez niedostępne Karpaty, gdzie przy pomocy zasieków 1500 strzelców może ich wstrzymać. Jeżeli pójdą, to raczej koło St. Miklosz na Temeszwar, jak przed laty dwudziestu sześciu".

MIMO POWAŻNYCH wątpliwości co do możliwego przechodu tatarskiego, Zamojski przesłał o nim wiadomość królowi do Szwecji, a sam niezwłocznie (27 lutego 1594 r.) rozpisał listy i uniwersały, oznajmujące „wszystkim a zwłaszcza rotmistrzom i starostom podgórskim: śniatyńskiemu, halickiemu, stryjskiemu, przemyskiemu, samborskiemu i sanockiemu, aby ostrożni byli o drogi w swych starostwach", bo „przestrogi i głosów przychodzi nie mało", że cesarz turecki kazał Tatarom przedzierać się przez granicę koronną do Węgier. A że ten „nieprzyjaciel zwykł jak deszcz spadać", napominał, by każdy był gotów „bieżeć, gdzieby ogień błysnął".

W OCZEKIWANIU pewniejszej wiadomości, nie przedsięwzięto na razie w Polsce większych środków obrony, ba bo nawet doświadczony „stróż granic koronnych", Stanisław Żółkiewski, hetman pol. kor. stojący z wojskiem kwarcianym na straży, od strony „Dzikich pól" w Chmielniku, cały tatarski przechód do Węgier, przez góry, gdzie „sami chłopi górscy zarąbawszy drogi, każde wojsko zabawiliby długo", uważał za nieprawdopodobne. Gdyby nawet tak zrobili, dowodził, i na oślep wleźli w górskie „cieśniny i miejsca do przebycia trudne" to chodząc „bez siekier i instrumentów do czynienia dróg potrzebnych... nie wiele by w górach poczęli. Musieliby albo się wrócić albo inszą drogę przedsięwziąć albo przynajmniej nad swojego wojowania sposób bardzo długo się bawić... chyba, żeby chcieli przebywać przez śląsko, co też mało podobna, bo daleko".

BARDZIEJ MAM podobieństwa, pisał do Zamojskiego, że przestrzegałbym Tatar wracających z Węgier, niż tam idących. Ale, że wiele rzeczy dzieje się „nad

mniemanie ludzkie", radził, żeby dać znać w góry do Stryja, Sambora, Sanoka, i dalej do Sącza, aby ludzie tameczni na wszelki wypadek pozarębywali drogi.

MIMO NIEDOWIERZANIA, Żółkiewski, nie lekceważąc ostrzeżenia, nie zaniedbał niczego, coby w danym razie mogło osłonić ziemie koronne od klęski. Rozesłał natychmiast szpiegów ku Dzikim Polom i do Mołdawii, sam pilnie „nakładał ucha", ściągał „żołnierzy i ludzi ukrainnych", rozłożonych po różnych miejscowościach, w przypuszczeniu, że gdyby Tatarzy w istocie ruszyli przez Polskę, to wkroczą Czarnym szlakiem, po czym albo zwrócą się na Międzybóż, Czarny Ostrów, Skałę, Jazłowiec, Buczacz przez Pokucie ku Śniatynowi, a stąd przez Wołoszczyznę do Węgier, jak już raz szli za Solimana w r. 1566 pod Sziget albo pójdą wprost gdziekolwiek przez góry karpackie.

NA TEN WYPADEK obmyślił hetman plan działania. „Gdybym o wojsku tatarskiem posłyszał — pisał do Zamojskiego, — naprzód prędkim posłańcem dam znać do WMci... Jest moje postanowienie z żołnierzami i ludźmi ukrainnymi, co ich będę mógł zebrać iść bokiem szlaku na Międzybóż, Płoskirów, Czarny Ostrów, do Manaczyna. W Manaczynie postrzegę, gdzie się wojsko (tatarskie) obróci. Jeśli ku Śniatynowi w lewo, ja będę przebijał się ku Trembowli, ku Jazłowcu, ku Uściu i tam się będę WM. osłuchiwał. Jeśliby Tatarowie powrócili ku Lwowu albo poszli tym szlakiem, którym chadzali gdy ziemię przemyską wojowali [raz był ich kosz w Dołhomościskach mila od Gródka], a szlak ten idzie mimo Podhajce, Rohatyn, Chodorostaw, potem ku górze nad Dniestrem na Rozdół, Drohowyż. Jeśliby tym szlakiem albo ku Lwowu szli, tak że bokiem, podle szlaku myślę ku WM. przybywać t. j. z Manaczyna na Ożochowce, Zbaraż, Założce, Olesko, Busko. Wszystkie te zamki są od siebie po kilka mil... Spodziewałbym się za łaską i pomocą Bożą jeśliby car (tatarski) szedł tamtym szlakiem na Rohatyn, żebym był prędzej we Lwowie, niśliby on przebył cieśninę u Rozdołu."

ROZWAŻAJĄC DOKŁADNIE „co nieprzyjaciel będzie czynił", Żółkiewski coraz silniejszego nabierał przekonania, że mimo wszystko przejście jego przez ziemie koronne staje się coraz prawdopodobniejsze. Utwierdzał go w tym fakt, który równocześnie niemałą napawał go troską. Oto na ziemiach ukrainnych wybuchło nagle groźne wśród ludu wrzenie i rozruchy coraz większe zaczęły przybierać rozmiary. Obok rejestrowanych Niżowców na porohach dnieprowych, cała Kijowczyzna i Bracławczyzna, a nawet częściowo Podole i Wołyń, zaroiły się od różnych „kup swawolnych", od ludzi bawiących się „kozakowaniem" tj. rabunkiem, mordem i napadami na wsie, miasteczka i miasta. Równocześnie przychodziły wieści o wielkich zbrojeniach kozackich, o przygotowywaniu żywności, budowie czajek dla gotujących się wypraw na ziemie tureckie. Nazwiska watażków: Mikoszyńskiego, Archorego Łobody i Semena Nalewajki coraz większego nabierały rozgłosu. Pierwsza ich wyprawa nad Dunaj, uwieńczona powodzeniem w grudniu 1593 r., stała się zachętą do dalszych.

NIE BYŁO dla hetmana tajemnicą, że wzrastająca nagle buta kozacka, lekceważenie konstytucyj sejmowych i ogólne podniecenie umysłów, były następstwem znoszenia się dworu austriackiego z kozactwem. Przesyłane mu przez cesarza cho-

rągwie, dary, pieniądze, pisma, wezwania i zachęty zrobiły swoje. Ciemne, bezkrytyczne, sprytnie podburzone rzesze, uwierzywszy w wmawianą im misję, zaczęły się uważać za upoważnione do wybryków wszelkiego rodzaju, zarówno w kraju jak i poza nim.

CHCĄC POŁOŻYĆ kres szkodliwej i niebezpiecznej agitacji, postanowił Żółkiewski ukrócić ją przez uwięzienie Stanisława Chłopickiego, ale sprytny agent umiał uniknąć tego. Wobec niebezpieczeństwa tatarskiego trudno było myśleć na razie o ukróceniu kozactwa i jego najazdów na ziemie tureckie, co tym silniej upewniało hetmana, że Tatarzy, aby się zemścić za nie, niewątpliwie pójdą przez ziemie koronne.

WŚRÓD TEGO stanu rzeczy nadchodziły wieści różnorodne, jedne za drugimi, niepewne, wręcz sobie nawet przeciwne, o olbrzymich przygotowaniach w Krymie, o celach wyprawy, o niewątpliwym przechodzie przez Polskę „skoro się trawa na stepach ukaże".

JUŻ TO WIEKUISTY brak dokładnych wiadomości o grożących najazdach, ruchach i planach tatarskich, główną bywał przyczyną ich powodzenia. Odgraniczeni od Polski Dzikimi Polami tj. stepem bezdrożnym i bezludnym, z którego, jak się wyrażał Żółkiewski „chyba ptak albo zwierz mógł o nich dać wiadomość", w tajemnicy zawsze umieli przygotowywać swe wyprawy. A chociaż dowiedziano się nawet wcześnie o bliskim najeździe, to z której strony miał on uderzyć, najczęściej było zagadką. Spodziewano się ich na jednym szlaku, a oni drugim uderzali, szybkością udaremniając obronę i pogoń. Tak stało się i teraz.

KIEDY ROZWAŻANO jeszcze możliwość i kierunek głoszonego przechodu, Tatarzy tymczasem bez rozgłosu, cicho, wyruszyli z Krymu, przeprawili się przez Dniepr i przez Dzikie Pola wkroczyli, nie na Czarny szlak, ale przez Dniestr, koło jego limanu, do Mołdawii. Hospodar Aron ponowne przesłał ostrzeżenie, które potwierdziło „innych głosów niemało". Dotychczasowa niepewność zamieniła się w tragiczną rzeczywistość.

DNIA 1 LIPCA Żółkiewski, stojący w Latyczowie, co tchu pchnął gońca do Zamojskiego w Gródku pod Lwowem, że wszystkie wieści o Tatarach zgadzają się, że „idą przez Mołdawię, w górę Dniestru, ku Pokuciu i przejdą Karpaty tak zw. Piotrową drogą".

RÓWNOCZEŚNIE sam hetman, nie tracąc czasu, z jezdnymi rotami, które miał przy sobie, ruszył się z Latyczowa ku Założcom, by stąd przez Lwów w podkarpackie dotrzeć strony. Groza niebezpieczeństwa nagliła, przestrzeń do przebycia była olbrzymia, więc pochód hetmański z największym odbywał się pośpiechem. Zamojski ze swej strony natychmiast ostatnie rozesłał wici na pospolite ruszenie. O wstrzymaniu najeźdźców na granicy nie było już mowy, więc aby im przeciąć drogę, wzywał szlachtę do bezzwłocznego stawienia się pod Samborem, starostów i rotmistrzów pogranicznych uwiadomił o bliskim już niebezpieczeństwie, a sam w Gródku pod Lwowem własne ściągał siły.

WOBEC TAKIEGO STANU rzeczy Pokucie i w ogóle Podkarpacie zostało się prawie bez obrony. Kilka nielicznych hufców starościńskich, kilka lotnych chorągwi rotmistrzów pogranicznych, stanowiło tu całą siłę zbrojną, z kilkuset ludzi złożoną.

ROTMISTRZAMI ZWANO u nas dowódców małych hufców czyli rot, złożonych z 50 do 100 koni, pełniących służbę strażniczą na pograniczach. Godność ta powstała w drugiej połowie XV wieku. Za Jana Olbrachta jest ich kilku, później wzrasta ich liczba. O rotmistrzostwo na ziemiach ukrainnych dobija się młodzież, jako pierwszy szczebel do przyszłych godności i zaszczytów. Z końcem XVI wieku wszędzie ich tu pełno. Konno i zbrojno na czele swoich hufców we wszech kierunkach przebiegają kraj, nadsłuchując pilnie czy skąd jakie nie zagraża niebezpieczeństwo. Zwykle każdy na własną działa rękę, w razie jednak potrzeby łączą się wspólnie, podjazdami urywają najeźdźców, ostrzegają i bronią zagrożoną ludność, a zmuszeni koniecznością, zamykają się w pierwszym lepszym zameczku, by za jego warownymi ścianami nawale stawić czoło.

TAKICH ROTMISTRZÓW, w chwili oczekiwanego najazdu, było na Pokuciu trzech: Jakub Potocki, Jan Szczucki i Jakub Koryciński. Wszyscy znani już tu oddawna, wszyscy bowiem lata całe spędzili już na kresach, stąd też i ich nazwisko nie rzadko spotyka się tu w tych czasach. W Śniatynie nadto „u wołoskiej ściany", jak nazywano pogranicze polskie z tej strony, istniał nad stromym zboczem wyniosłego płaskowzgórza, drewniany, starościński zameczek. Położeniem nad całą panował okolicą zwłaszcza od Wschodu. Była to pierwsza polska placówka od kresów wołoskich, o którą też pierwszy zawsze obijał się okrzyk trwogi i leciał daleko w głąb Rzeczypospolitej, niosąc wieść o grożącym najeździe.

W CHWILI OBECNEJ straż jego miał sobie powierzoną starosta, Mikołaj Jazłowiecki, człowiek rycerski i wojownik zawołany, od lat bowiem trzydziestu sługiwał już na kresach i należał do najwybitniejszych ich obrońców. On to z swym hufcem i wspomniani trzej rotmistrze, mieli pierwsi wstrzymać rozpęd hord, nim pospolite ruszenie mogłoby nadbiec z pomocą. Wszyscy przyjęli na się ciężki obowiązek. Potocki czuwa wzdłuż Dniestru, pilnując jego brodów, Koryciński i Szczucki aż nad wołoską wybiegają granicę. Cóż jednak znaczyły ich siły wobec szybko zbliżającej się hordy?

JESZCZE PIERWSZE hufce polskie nie zdążyły pod Sambor, a już dnia 2 lipca nawała tatarska szlakiem wołoskim wkroczyła w granice Polski pod Śniatynem i jak chmura gradowa runęła w głąb kraju. Była to horda groźna, nie tylko swą liczbą ludzi i koni, ale ich doborem, bo przebrakowana starannie. Składali ją najlepsi jeźdźcy i najlepsze konie, a towarzyszył im dla pewniejszej obrony kilkutysięczny oddział tureckiej piechoty (janczarów) i jazdy (spachów) pod beglerbegiem Sylistrii. Według jednych było ich trzydzieści tysięcy. Według drugich znacznie więcej, dokładnie jednak nie wiedziano. Dwaj jeńcy, wzięci przez Mikołaja Jazłowieckiego, nie umieli także oznaczyć ich liczby; zeznawali tylko, że całej hordy tatarskiej okiem objąć nie można, bo nawet razem zebrani tworzą zbitą ławę na jakie pięć mil długą a cztery szeroką. Choć i to zdaje się przesadzone, zawsze jednak liczba ich była ogromna, bo dosięgała niewątpliwie trzydziestu tysięcy

ludzi, a najmniej dwa razy tyle koni, jak podają źródła tureckie a potwierdza je większość polskich. Sam chan, Kazy-Geraj dowodził hordą.

NAJAZD KILKOMA szedł grupami czyli z tatarska czambułami, a największy prowadził sam chan. Cyganie, którzy włócząc się po Polsce, znali jej właściwości, znali drogi, przejścia, brody i wioski najludniejsze, służyli im za przewodników. Stwierdzono, że prowadził ich również pewien szlachcic polski, który za jakąś sprawę skazany na infamię, mszcząc się, zdradą teraz własnej odpłacał ojczyźnie. Inny nieznany z nazwiska, lecz z pochodzenia Rusin, za pieniądze te same oddawał Tatarom usługi, a z nim także jakiś Żyd karaita i Węgier w Wołoszczyźnie wzięty.

MAJĄC TAK ZNACZNE siły i przewodników dobrze z szlakami obeznanych a do tego poinformowani dokładnie o braku większych sił polskich w tych stronach, śmiało posuwali się naprzód, robiąc dziennie mniej więcej trzy mile. Był to najazd jeden z największych, jakie w ogóle widziały te strony, to też jego ślady i pamięć o nim długie potem przechowywała się tu lata. Całe Pokucie i Podgórze od Karpat po brzegi Dniestru, jedną miały oblać się teraz łuną, dziesiątki wiosek miało lec w popiele, a „że nie do domu wracali — wbrew swemu zwyczajowi — ludzi więcej ścinali jak zabierali".

MIMO CAŁEJ GROZY położenia, mimo ogólnego popłochu, nie brakło wśród zgliszcz i ruin czynów, które stworzyły szereg epizodów przepięknej rycersko - religijnej epopei.

WOBEC PRZEWAŻAJĄCYCH sił najeźdźców, Mikołaj Jazłowiecki nie mogąc bronić śniatyńskiego zamku, który od czasu najazdu w 1589 r. był zupełnie zniszczony, pognał z swym hufcem do kanclerza i hetmana Zamojskiego, obozującego w Gródku, by dać mu znać jak rzeczy stoją. Wspomnianym rotmistrzom, Szczuckiemu i Korycińskiemu nie pozostawało także nic innego, jak cofać się w głąb kraju do jakiegoś punktu oparcia. Uchodzili więc wzdłuż Dniestru, tu i ówdzie napierające urywając hordy. Pod Niżniowem niedaleko Dniestru, w miejscu, gdzie dziś wioska Antoniówka, rozległy wtedy rozciągał się las. Obaj rotmistrze zaczaiwszy się w nim z swymi rotami, urządzili zasadzkę. Nie czekano długo. Jeden z mniejszych zagonów tatarskich, pędzących przodem, wpadł w zastawioną matnię. Po krótkiej, zaciętej walce, mało który Tatarzyn uniósł życie, zagon prawie do szczętu został zniesiony. Z niewielką swoją stratą rotmistrze w dalszą pomknęli drogę. Miasteczko Czesybiesy było ich celem, tam też dążyli.

DAREMNIE DZIŚ szukać miejscowości o podobnej nazwie w naddniestrzańskich stronach. Z laty zmieniły się ich okolice, zmieniła się nazwa, położenie jednak pozostało to samo. Czesybiesami zwał się pierwotnie dzisiejszy Jezupol, miasteczko najbliższe Halicza. Tutaj to w miejscu, gdzie dziś klasztor OO. Dominikanów, na niewielkim płaskim pagórku, stał mały drewniany zameczek czyli jak wówczas nazywano fortalicium. Wzniesiony w połowie XVI wieku przez Marcina Zborowskiego, kasztelana krakowskiego, niejedno pamiętał już zdarzenie, zwłaszcza gdy nim władał syn Marcina, słynny z awantur Krzysztof Zborowski.

JAK ŚWIADCZYŁ stary obraz, zachowany w klasztorze do wojny, zameczek ów tworzył prostokątny, z drzewa zbudowany budynek, którego boki wzmacniały dwie czworoboczne baszty. Jako taki nie liczył się on do rzędu silnych warowni, potężne jednak dębowe ściany, opatrzone strzelnicami i zasobny rynsztunek wojenny dziedzica, bezpieczną w chwili najazdu przedstawiały ochronę, zwłaszcza od strony Tatarów, którzy goniąc za łupieżą, po pierwszej nieudałej próbie zdobycia, ruszali zwykle dalej. Niewielki kościółek, stajnie i kilka zabudowań gospodarczych tworzyło całe obejście zamku, które krajem pogórka otaczały pionowo wbite pale czyli częstokół. Mały lecz głęboki stawek, dzielił zameczek od miasteczka, z innych zaś stron niewielki potoczek, Wiśniowczyk, w półkole zamkowe podmywał wzgórze. Tuż od strony północno-zachodniej przylegał obszerny ogród, po przeciwnej stronie leżały chaty miasteczka, dalej zaś ku północy srebrzyste wstęgi Dniestru i Bystrzycy, na tle ciemnych ledwo ludzką ręką tkniętych borów, malowniczego dopełniały krajobrazu.

WŁAŚCICIELEM Czesybies, ich zameczku i przyległych wiosek, w chwili najazdu, był wspomniany rotmistrz, Jakub z Potoka Potocki, jeden z czterech braci Pilawitów, którzy pierwsi położyli podwalinę pod przyszłe znaczenie tego rodu. Rotmistrz Jakub był prawdziwym typem rycerskiego kresowca. Młodość swą spędził w obozach i wyprawach króla Stefana Batorego, pod którego okiem niejednym mężnym okrył się czynem. W każdej walce dokazywał cudów męstwa, budził podziw najstarszych wojowników, wojna była dlań najmilszym zajęciem. Stąd to Batory, ceniąc dzielnego rotmistrza, obsypywał go łaskami, a w ich rzędzie oddał mu w r. 1585 na własność Czesybiesy z przyległościami, skonfiskowane Krzysztofowi Zborowskiemu za zdradę stanu.

OTRZYMAWSZY TE dobra zamieszkał Jakub stale w czesybieskim zameczku, który w tych stronach tworzył bardzo ważny punkt strażniczy, tu bowiem „szlak wołoski", idący od Śniatyna, dzielił się na dwa ramiona. Jedno, jako dalszy jego ciąg, przechodziło Dniestr i przez Bursztyn, Rohatyn, Bóbrkę szło do Lwowa, drugie jako „szlak złoty", przez Halicz w podgórskie, ku Samborowi biegło okolice. Stojąc na straży swej szlakowej placówki, opatrzył ją Potocki we wszelkie przybory wojenne. Ona to miała być teraz świadkiem jego niezwykłego męstwa. Do niej to z największą radością przyjął teraz współtowarzyszy rotmistrzów Szczuckiego i Korycińskiego, przybywających mu z pożądaną pomocą.

PĘDZĄCY ZA rotmistrzami najeźdźcy zbliżali się szybko. Łuny i dymy pożarów znaczyły ich pochód. Dnia 2 lipca spalili Śniatyn, Kołomyję, Gwoździec, Obertyn, Kołaczkowce i Żuków. Dnia 3 lipca w niedzielę Tłumacz i Niżniów, a 4-go w poniedziałek, mszcząc się za klęskę swoich pod Niżniowem, do gruntu zniszczyli okolicę Tyśmienicy tak, że lat jeszcze wiele potem pokazywano mogiły pomordowanych wówczas ofiar. Sama Tyśmienica i jej zameczek, należące do Michała Stanisławskiego, również rotmistrza królewskiego, spłonęły do szczętu razem z całym dobytkiem ich właściciela, który nadto stracił wszystkie dokumenty odnoszące się do tych dóbr.

SIŁY WSZYSTKICH trzech rotmistrzów, połączone w czesybieskim zameczku, prze-

nosiły zaledwie stu ludzi, mimo to nie brakło serca wojownikom, dla których od młodości harce i walki z pohańcami były zwykłą zabawą a niebezpieczeństwa igraszką. Wszyscy jednozgodnie postanowili się bronić, bronić do upadłego, choćby całej tatarskiej potędze przyszło stawić czoło. Ukończono wszelkie do obrony przygotowania, opatrzono broń, zwiedziono most od strony miasteczka i z okiem na wschód zwróconym oczekiwano wroga.

WŚRÓD LIPCOWEJ nocy coraz bliższe łuny, szeroko rozlewały się na widnokręgu. Wszystkie wioski od strony Tyśmienicy stały w płomieniach i szlakiem ognia zbliżały się hordy. Ludność okolicznych wiosek ostrzeżona wcześniej, na wsze rozbiegła się strony, unosząc życie i mienie w sąsiednie lasy i pieczary nad Bystrzycą. Zrobili tak i mieszkańcy Czesybies. Mały zameczek niewielu tylko mógł udzielić schronienia, więc gdzie kto zdołał, uchodził przed niechybną ratując się zgubą.

Z BRZASKIEM DNIA 5 lipca zaczęły spływać hordy, jedne od Dniestru, inne wzdłuż Bystrzycy, krzykiem dzikim napełniając okolice. Pod zameczek, stopniowo coraz liczniejsze ściągały się tłumy, tworząc olbrzymi kosz czyli obóz. Przybył i sam chan Kazy - Geraj i oddział posiłkowy turecki i tabor niemały bydła, owiec, wielbłądów.

FAKT, ŻE ZAMECZEK zamierza stawić opór, a był to pierwszy jaki w swym pochodzie spotykali, wstrzymał hordę. Zdobycie niewielkiej warowienki, wydało się chanowi zabawką, ukaranie zuchwałych rotmistrzów powinnością, zwłaszcza że ten dzień przeznaczyli tu sobie na odpoczynek. Bez zwłoki przystąpili do dzieła. Szeroko po polach rozłożyły się obozy tatarskie, część zaś pierścieniem otoczyła zameczek. Bezbronne, wyludnione miasteczko natychmiast stało się pastwą pożaru, który z kilku stron naraz wzniecony, szybko rozpoczął swe dzieło zniszczenia i w chwil niewiele wszystko ogniem objęte zamieniło się w popiół. Pozostał sam tylko zameczek, na nierówną czekający walkę. Wiatrem pędzone kłęby dymu objęły go wokoło, gorąco płonących pobliskich chat miasteczka, potęgowane lipcowym upałem, jęło doskwierać oblężonym, dym utrudniał oddech.

KORZYSTAJĄC z pierwszego nastroju, Tatarstwo w bezładnym tłumie wśród dzikich okrzyków pomknęło ku ścianom zameczku, wstępnym próbując zdobyć go natarciem. Sam chan przypatrywał się temu. Tatarzy okryci dymem ruszyli naprzód pod częstokół, liczbą usiłując zachwiać odwagę obrońców. Z zameczku przyjęto ich po rycersku. Zagrzmiały hakownice i rusznice, z wdzierającymi walczono wręcz. Tatarzy raz i drugi odparci ze stratą z coraz większą gwałtownością jęli ponawiać ataki, lecz bez skutku. Męstwo oblężonych równoważyło liczbę.

WŚRÓD TEGO oddział tureckich janczarów usypał u podnóża szaniec, którego ślad istniał do niedawna. Osadził na nim działka, bo i te prowadzili ze sobą i gęsty ogień wypuścili z nich na obrońców. Kule rozbijały częstokół i ściany zameczku, równocześnie grad strzał wypuszczany z łuków zasypywał je, lecz obrona stawała się coraz zaciętsza, Potocki był jej duszą. Wśród kul, grotów strzał, gorąca,

ognia i dymu był wszędzie, zachęcał, świecił przykładem, zapałem swym innym dodawał ducha.

MINĘŁO TAK kilka godzin walecznego oporu. Nadzieja wyjścia obronną ręką coraz większej dodawała otuchy oblężonym, zaciętość tatarska słabła widocznie, gdy w tym wypadek pokierował inaczej.

W WIRZE WALKI, młody pachołek Potockiego, Laskowski nazwiskiem, nieprzewidzianą spowodował katastrofę. Nabijając hakownicę przez nieostrożność wrzucił zapaloną hubkę do tuż obok stojącej beczki z prochem. Następstwo było dziełem jednej chwili. Huk straszliwy zagłuszył wrzawę bojową i część zameczku z wieżą wyleciała w powietrze, grzebiąc w swych gruzach wraz z innymi i sprawcę nieszczęścia. Kogo dosięgła katastrofa, zginął na miejscu. Sam Potocki ocalał cudem. Siła wybuchu wyrzuciła go w górę, lecz spadłszy, prócz silnego stłuczenia i oparzenia, innych nie odniósł uszkodzeń. Wybuch natomiast nie skończył się na zrujnowaniu zameczku. Od prochów pozostała jego zajęła się część, płomień szybko drewnianą obejmował budowę.

TEGO RODZAJU katastrofa zmięszała srodze oblężonych, pokrzyżowała wszystkie ich nadzieje. Tatarzy widząc co się stało, widząc nagle pożar, który sami dotąd daremnie usiłowali wzniecić „dopiero jęli szturmować pozsiadawszy z koni". Na gaszenie pożaru nie było czasu, nie zważając więc na ogień, z wytężeniem wszystkich sił walczono dalej, obrona jednakże stawała się wręcz niemożliwą. Każda chwila groziła zagrzebaniem w płonących zgliszczach. „Gdy tak z jednej strony nieprzyjaciel naciera, z drugiej ogień dopieka — mówi źródło współczesne — Potocki wstawszy z ziemi, nie widząc z nikąd ratunku, oddaje się opiece Marji w cudownym obrazie lwowskich OO. Dominikanów i ślubuje, jeżeli z tego niebezpieczeństwa zostanie wybawiony, zbuduje na tym miejscu kościół i klasztor temu Zakonowi".

POŁOŻENIE CORAZ stawało się groźniejsze. Tatarzy już na zamkowy wdzierali się dziedziniec, zguba groziła nieuchronna. Jedna odwaga i przytomność umysłu mogły jeszcze coś zdziałać, a tych nie stracił Potocki. Oparzony, cały czarny od prochu, dopada konia, wskakuje nań, inni robią to samo i jak grom, z szablą w dłoni, na wdzierające rzucają się Tatarstwo. Przedrzeć się przez nie do Dniestru, odległego jakie dwa tysiące kroków lub zginąć, nic innego nie pozostawało do wyboru i tak zrobił Potocki. Okrzyk „Jezu, daj pole!" zmięszał się ze szczękiem oręża. Tatarstwo „gwałtownym wypadem" odparte, rozstępuje się na boki, lecz po chwili nowe tłumy z krzykiem zastępują drogę rotmistrzom. Ci ostatnich dobywają sił, rąbią w prawo i w lewo i co koń wyskoczy przez pola i krzaki pędzą ku Dniestrowi. Męstwo i rączość koni ocaliła walecznych. Kto wypadł pieszo nie uszedł śmierci, aż wreszcie z całego zastępu obrońców czesybieskiego zameczku pozostało tylko kilku, a w ich liczbie Potocki, Szczucki i Koryciński, którzy „gwałtem wielkim — mówi zapiska kronikarska — cało ku bliskiemu uszli Dniestrowi". Woda na szczęście nie była w nim wielką, więc przebycie go wpław nie wiele zabrało czasu. Tatarzy zdumieni walecznością zaniechali pogoni, a w chwil kilka później rotmistrze na drugim brzegu byli już bezpieczni. Odpocząwszy nieco, z mo-

dlitwą dziękczynną na ustach ruszyli do Lwowa, zdala spoglądając na miejsce krwawych zapasów. Miasteczko dopalało się, już tylko zameczek świecił jak pochodnia a Tatarzy łupieskiego dopełniali dzieła.

DNIA NASTĘPNEGO z pod Czesybies, leżących w zgliszczach, ruszyły hordy ku bliskiemu Haliczowi.

HALICZ, TAK GŁOŚNY swoją przeszłością, niezbyt wielką mógł wtedy pochlubić się obronnością. Wały, które później wokoło miasteczka usypano, nie istniały jeszcze w tym czasie. Otaczał je tylko „parkan" czyli częstokół i ten stanowił całą obronność miasta. Na górze natomiast, wznoszącej się nad miasteczkiem, gdzie dziś sterczą szczątki, późniejszego murowanego zamku, wzniesionego w połowie XVII wieku przez Andrzeja Potockiego, stał w czasie, o którym mowa, częściowo drewniany jeszcze starościński zamek, sięgający swym założeniem Kazimierza Wielkiego, a budową Władysława Jagiełły. Starościńska ta jednak siedziba, choć większa od czesybieskiego zameczku i położeniem obronniejsza od niego, była bardzo zaniedbaną i wcale nie wyglądała imponująco. Czasem nadwerężone, nienaprawiane i na pół zbutwiałe ściany i baszty, ledwo jakie takie zapewniały schronienie. Przy tym i załoga kilkudziesięciu tylko liczyła ludzi, a i rynsztunek wojenny nie był zbyt obfity. Sam zato starosta, który stawił się do obrony zamku, głównym był jego teraz puklerzem. Był nim Stanisław z Hermanowa Włodek, żonaty z Elżbietą Zamojską, siostrą kanclerza, a więc jego szwagier, człek do boju i rady zarówno sposobny. Odwagą i duchem rycerskim nie ustępował Jakubowi Potockiemu. Większą część życia spędził na pograniczu. W bojach z Tatarstwem wybitną odegrał rolę i za zasługi położone w obronie kraju, otrzymał nie tylko starostwo halickie i kołomyjskie, ale piastował zarazem godność wojewody bełzkiego. Najazd tatarski zastał go w Haliczu, gdzie w tej tak groźnej chwili powoływał go obowiązek i ciężkie czekało go zadanie.

Z WIEŚCIĄ o zbliżających się hordach, powiększyła się liczba obrońców starościńskiego hufcu. Szlachta okoliczna, mieszczanie haliccy, czerńcy licznych sąsiednich bazyliańskich monastyrów, zbiegli pod rycerskie ramię starosty, ofiarując mu swe usługi. Zamek zapełniał się szczelnie ludźmi. Przyjmowano wszystkich, o ile miejsca starczyło, w porównaniu jednak z nawałą tatarską była to tylko garstka.

NIEZWYKŁA LICZBA ciągnącej hordy, los niedalekich Czesybies, a przy tym widok straszliwej, coraz bliższej pożogi, trwogą niepewności napełniał obrońców zamku. Nie liczby ani pożóg obawiał się dzielny Włodek, bo tych dosyć już widział w swym życiu, lecz opłakany stan zamku, którego dotąd nie zdążył naprawić, a do tego brak dostatecznej amunicji, przejmował go niepokojem. Rozważał to dobrze starosta, a choć nie zdradzał się z obawami, myśl jednak o możliwej katastrofie, a z nią o losie, jaki wtedy czekał wszystkich, przygniatała mu umysł. O tym, żeby Tatarzy mieli ominąć Halicz, nie było mowy. Z pod Czesybies tędy właśnie dalsza wypadała im droga.

W OCZEKIWANIU i niepewności minął dzień, w którym pod Czesybiesami krwawa rozgrywała się tragedia, następny dopiero kazał spodziewać się najeźdźców.

Z NADEJŚCIEM nocy starosta wydawszy potrzebne rozporządzenia, znużony na chwilowy legł spoczynek. Sen dziwny skleił mu powieki. Śniło mu się, że widział zastępy wdzierających się pohańców, widział bój krwawy, beznadziejny i zgubę wszystkich bliską. Rozpacz niewymowna ogarnęła go. W tym ukazuje mu się dziewica niebiańskiej urody, która mianuje się opiekunką zamku, wzywa go do wytrwałości i przyobiecuje zwycięstwo. W dziewicy poznał Włodek św. Katarzynę, pod której wezwaniem istniała oddawna na zamku kaplica. Obudziwszy się wziął sen za dobrą wróżbę. Pokrzepiony na duchu opowiedział go innym i pełen ufności w Opatrzność Boską, dalszych oczekiwał wypadków.

Z PIERWSZYMI promieniami słońca, dnia 6 lipca, zaczęły hordy spływać ku Haliczowi, gdzie obrały sobie miejsce dalszego postoju. Jedne z nich, rozlane szeroko po przyległych okolicach, gospodarowały po swojemu, inne rozłożyły się na polach wokoło zamku. Z opuszczonym miasteczkiem uporali się rychło. Podpaliwszy je, zaczęli próbować szczęścia czy wstępnym bojem nie uda im się opanować starościńskiej warowni. Od strony więc dostępnej tj. od przyległego płaskowzgórza, przypuścili atak, postępując zwykłą sobie taktyką, zrazu najgwałtowniej, wśród okrzyków „podobnych do wycia". Oblężeni wytężając wszystkie siły, mężny stawili opór. Ataki szczęśliwie zostały odparte.

POWTÓRZYŁY SIĘ sceny czesybieskiej obrony. Ustawione działka niemałe wyrządzały obrońcom szkody. Od kul spróchniałe zaczęły rozpadać się ściany. Poległych i rannych coraz większą liczono liczbę. Nadomiar ogień wzniecany kilkakrotnie, przerażał nie mało, groził zamkowi zagładą. Gaszono go jednak szczęśliwie, nim większe mógł przybrać rozmiary. Wśród nieustannej walki upływały godziny, a z nimi stopniowo coraz rzadsze z zamku padały strzały, aż wreszcie umilkły zupełnie — oblężonym zabrakło amunicji.

RYCHŁO POZNAŁO to Tatarstwo, pewne więc swego, ze zdwojoną gwałtownością rzuciło się w przekop ku zamkowym ścianom. Każda chwila mogła rozstrzygnąć o losie warowni, oblężeni jednak nie tracąc przytomności z nadludzkim wysiłkiem odparli i ten atak. Co tylko było pod ręką, użyto za broń. Rozebrano kominy, ściany mniej potrzebne i deszcz kamieni, cegieł, belek, żelaziwa na tatarskie leciał łby. Jak kto mógł wspierał obronę, a zwłaszcza mnisi bazyliańscy pięknym w tym względzie świecili przykładem. Sam starosta był wszędzie, swoją odwagą wszystkim dodawał ducha. Chwilę wahała się szala. Tatarzy podwajali wysiłki, trupami zaścielając zamkowy przechód. W wirze walki padł, ugodzony kamieniem, jeden ze znaczniejszych murzów i to, jak zwykle, tak i teraz silnie zmięszało zabobonnych pohańców. Zachwiali się i poczytując śmierć dowódcy za złą dla siebie wróżbę, nagle dalszych zaniechali ataków, odstępując od zamku. Oblężeni odetchnęli. Zamek cudem ocalał.

PRZEZ NOC zatrzymały się jeszcze hordy Kazy - Gereja pod Haliczem, nie próbując już więcej zdobywania jego zamku. Nie mieli na to i czasu, który naglił do dalszego, szybkiego pochodu.

GDY TEGO RODZAJU epizody w naddniestrzańskiej rozgrywały się stronie, inna

część hord, która szła podnóżem gór, rozpuściła czambuły daleko w podkarpackie okolice i zniszczyła je niemiłosiernie. Przeszedłszy następnie przez słynne bednarowskie lasy, uderzyła na Kałusz, należący wraz z przyległym doń starostwem do Stanisława Żółkiewskiego. Hetmańska ta posiadłość strasznemu uległa spustoszeniu. Miasteczko spłonęło do szczętu.

NIEOPISANE PRZERAŻENIE ogarnęło ludność podgórską, zaskoczoną najazdem. Od r. 1498, a więc prawie od stu lat, nie widziano Tatarów w tych stronach. Wszystko przeto w największym popłochu uchodziło w leśne kryjówki, ratując życie i resztki mienia. Wobec olbrzymiej nawały, obronne dworki szlacheckie nie dawały rękojmi bezpieczeństwa.

Z POD HALICZA, dnia 7 lipca, ruszyli Tatarzy na zachód za Łomnicę, w gęsto zaludnione i licznymi wioskami zasiane okolice Podgórza. Poszły tu z dymem prawie równocześnie miasteczka Martynów, Wojniłów, Dolina, Żydaczów, Sokołów i Stryj. Z wiosek nie ocalała żadna. W nocy z 7 na 8 lipca łuny ich, płonących razem, widziano daleko aż za Lwowem. „We Lwowie sen nikogo nie bierze się. Czuwamy dzień i noc" — pisał współczesny.

DOSZEDŁSZY do Stryja mieli Tatarzy do wyboru trzy drogi, aby nimi przedrzeć się do Węgier.

PIERWSZA i najbliższa prowadziła rzeką Stryjem, w górę do Synowódzka. Stąd dalej doliną rzeki Oporu, przez Skole, Hrebenów i Tuchlę, na zapadłe wśród gór i lasów wioski Sławsko, Tarnawkę i Wołosiankę, dalej zaś przez przyległe do tych wiosek szczytowe przełęcze, wychodziła na węgierską stronę ku twierdzy Huszt.

DRUGA szła wprost doliną rzeki Stryja aż do jego źródlisk, następnie zaś przełęczą werecką*) przechodziła na Węgry ku drugiej, węgierskiej twierdzy, Munkaczowi.

TRZECIA, dalsza, ale „najprzestrzeńsza" i najwięcej w stosunkach z Węgrami używana, zwana w tym czasie „Piotrową drogą", prowadziła na Sambor. Stąd zwracała się prosto na południe i szła dolinami, jak dziś gościniec idący przez Turkę. Następnie przez przełęcz użocką, koło Sianek, przekraczała granicę polską również w kierunku Munkacza.

TATARZY poinformowani dokładnie przez szpiegów, jak olbrzymie musieliby przezwyciężyć trudności, aby pierwszą lub drugą drogą, dostępnymi ledwo dla pieszych, dostać się na Węgry, puścili się na trzecią — ku Samborowi.

WŚRÓD TYCH wypadków kanclerz i hetman w. kor., Jan Zamojski, stojący w Gródku z swymi przybocznymi rotami, w liczbie czterystu ludzi, dnia 7 lipca wyruszył z nimi na Sądową Wisznię ku Samborowi. Przypuszczał słusznie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa tylko tędy będzie horda próbowała przedrzeć się przez

*) z czeskiego: Verecký prusmyk = przełęcz Tucholska — (przyp. red.).

Karpaty. Przeciąć jej tę drogę, rozprawić się z nią w miejscu dogodnym, rozgromić lub zmusić do odwrotu — oto co teraz było można zrobić. Liczył kanclerz, że tego dokona przy pomocy sił, które miały się zgromadzić pod Samborem. Niestety przybywał pierwszy. Z wzywanych nikt się jeszcze nie stawił na miejsce zboru. Wobec takiego zawodu, nie dochodząc do Sambora, dnia 8 lipca zatrzymał się od niego o dwie mile na północ, nad rzeczką Błożewką, dopływem Strwiąża, w pobliżu wsi Ostrów. Tutaj postanowił czekać na innych, więc rozłożył się obozem, który na wszelki wypadek kazał natychmiast okopywać.

Z MIEJSCA obranego na obóz, daleki otwierał się widok ku naddniestrzańskim błoniom, można więc było narazie obserwować dokładnie kierunek pochodu hordy. Znaczyły go w dzień słupy dymów, w nocy łuny pożarów, coraz bliższe, coraz wyraźniejsze.

WIECZOREM tego dnia ujrzano coś więcej, bo nawet ognie tatarskiego koczowiska, chociaż dzieliła je znaczna odległość przeszło czterech mil. Jak później stwierdzono, w dniu tym tj. 8 lipca, Tatarzy doszli już do Drohobycza. Spaliwszy go, skupili się razem i stanęli na odpoczynek koszem tj. obozem na północny wschód od tego miasta, pod lasami, przy wsi Słońsko, przy czym zniszczyli do szczętu sąsiedni, głośny monastyr OO. Bazylianów w Letniej. Czerńców starszych wymordowali, młodszych uprowadzili.

WSZYSTKO wskazywało, że horda idzie na Sambor, na Piotrową drogę. Pragnąc bliżej zbadać jej zamiary, wysłał kanclerz podjazdy dla dostania języka, sam jednak nie mając odpowiednich sił do rozprawienia się z nadchodzącym najeźdźcą, martwił się i niepokoił nie mało. Dał temu wyraz w listach, jakie, pełne goryczy, wyprawił stąd nazajutrz (9 lipca).

„...OSTRZEŻENIE moje — pisał między innymi do Mikołaja Zebrzydowskiego, — które tyle razy od kwietnia powtarzałem, że Tatarzy postanowili iść przez nasze państwo do Węgier, a które lekceważono sobie i nic nie robiono — okazało się prawdziwem... Nieprzyjaciel wyszedłszy szybko z Wołoszczyzny najechał Królestwo. Przed kilku dniami zawiadomiłem o tem tych, których przybycie pod Sambor uważałem za najbardziej konieczne. Odłożywszy wszystkie sprawy, z Gródka wyprawiłem się ku Samborowi i stanąłem o dwie małe mile, w polu nad rzeką Błożwią. Do tego czasu nikt mi nie przybył z pomocą. Hetman polny... z żołnierzami swymi spieszy tutaj od granic państwa. Spodziewam się, że jutro złączymy się... Wczoraj widzieliśmy ognie nieprzyjacielskie. Dzisiaj lub jutro zobaczymy niewątpliwie ich samych... Nikt zaiste nie ma prawa uskarżać się na brak zapobiegliwości z mej strony... dla dobra ojczyzny ofiaruję i życie..."

MIMO WSZYSTKO kanclerz pocieszał się, że nadciągające siły Żółkiewskiego i pospolitego ruszenia przybędą jeszcze na czas, co pozwoli uderzyć na hordę i wstrzymać dalszy jej pochód. Była to jedyna może w naszych dziejach chwila, w której, przy większej energii, przezorności i pośpiechu z naszej strony, główna tatarska potęga mogła się była znaleźć w matni i mogła być do szczętu zniszczona. Gdy-

by to wtedy było się powiodło, następstwa byłyby nieobliczalne. Niestety stało się inaczej. Zbyt ostrożny i przebiegły był nieprzyjaciel, by czekać na miejscu.

WYSŁANE podjazdy polskie, spełniając zadanie, dotarły nazajutrz pod Słońsko, jakież jednak było ich zdziwienie, gdy tam, na miejscu tatarskiego obozu, ujrzały tylko dopalające się ogniska, kilkadziesiąt okaleczałych koni, nieco rynsztunku i szereg proporczyków powbijanych w ziemię. Horda znikła z widowni.

W PIERWSZEJ chwili nie zdawano sobie sprawy czy to fortel czy ucieczka. Rzecz wyjaśniła się niebawem. Oto Tatarzy, otrzymawszy dokładne wiadomości, że zbierające się w pobliżu wojsko polskie, którego liczby nie znali, może przeciąć im szlak, bynajmniej nie pragnęli wdawać się z nim w bój w otwartym polu. Zdawali sobie sprawę, że wtedy w razie klęski groziłoby im, jeżeli nie zupełne zniszczenie, to w każdym razie poważne straty. Aby tego uniknąć, bezzwłocznie zmienili kierunek obranej drogi. Równocześnie dla zmylenia przeciwnika zostawili na koczowisku palące się ogniska, a sami cicho wymknęli się z niego z powrotem w kierunku Stryja. W chwili, gdy podjazdy polskie stwierdzały ten fakt, byli już o siedem mil oddaleni i stanęli na odpoczynek pod wsią Synowódzkiem. Tutaj zdecydowali się na krok niezwykle śmiały i ryzykowny, ale ten właśnie wybawił ich z krytycznego położenia. Oto ruszyli prosto w góry, wzdłuż Oporu, drogą ze wszystkich najgorszą, wijącą się wśród lasów, wertepów i złomów kamieni, a przy tym w wielu miejscach zatarasowaną zasiekami ściętych drzew.

WIEŚĆ O wymknięciu się hordy była dla Zamojskiego przykrą niespodzianką. Nagłe zniknięcie łun wskazywało, że najeźdźcy cofnęli się daleko wstecz. Mimo to kanclerz nie dawał za wygraną. Nie tracił nadziei, że uda mu się ją dopędzić. Liczył na pewne, że złe drogi i zasieki porobione w górach, ułatwią to zadanie.

KAŻDA GODZINA była teraz droga, siły jednak ciągle były zbyt szczupłe, nie pozwalały by rozpocząć pościg. Należało jeszcze czekać aż zbiorą się większe. W istocie w ciągu trzech następnych dni armia kanclerska rosła z godziny na godzinę. Pod grozą niebezpieczeństwa teraz dopiero zewsząd spieszyły do niej zbrojne hufce dalszej i bliższej szlachty. Przybyli z swoimi rotami: Aleksander ks. Ostrogski wojewoda wołyński, Janusz Zbaraski wojewoda bracławski, Mikołaj Jazłowiecki starosta śniatyński, Czechowski starosta żydaczowski, Jerzy Mniszech wojewoda sandomierski, Struś starosta kamionecki, Temruk starosta barski. Stawili się z pocztami Stadniccy, Herburtowie, Fredrowie, Stanisławscy i inni. Czekano przede wszystkim z niecierpliwością na przybycie hetmana pol. kor. Stanisława Żółkiewskiego, który spiesząc dzień i noc, 9-go lipca przeszedł przez Lwów i pędził ku kanclerzowi z czteroma tysiącami kwarcianego żołnierza.

DZIĘKI TEMU do dnia 11 lipca siła zbrojna kanclerza wzrosła do dziesięciu tysięcy ludzi. Nie zwlekając dłużej, tegoż dnia Zamojski zostawiwszy wozy i piechotę nad Błożewką, puścił się z całą jazdą w pogoń. W okolicy Drohobycza połączył się z wojskiem kwarcianym Stanisława Żółkiewskiego, przez co siły pościgowe polskie wzrosły do dwunastu tysięcy ludzi.

NIE SZCZĘDZĄC trudów, nie żałując koni, goniono śladami tatarskiego pochodu. Tatarzy tymczasem, kierując się właściwym sobie sprytem, dzięki wytrwałości i rączości swych koni, dawno już dopięli zamierzonego celu. Nie tylko uszli przed pościgiem, ale byli przed nim bezpieczni. Setki spędzonych i wziętych w jasyr chłopów, torowało im siekierami przejścia, usuwało przeszkody i zasieki. W ten sposób, mimo niezwykłych trudności terenu ,,utworzyli sobie i wypalili drogę dość szeroką". Ile tylko wąwozów, ile szczytów dostępnych prowadziło z doliny i dorzecza Oporu, w dorzecze węgierskiej rzeczki Nagy, tyle dróg służyło im za przejścia. Tędy to z taką przedzierali się szybkością, że jeżeli weźmie się pod uwagę, jaki przed niewielu dziesiątkami lat był tu jeszcze stan dróg i przejść w tych górach, a cóż dopiero przed czteroma blisko wiekami, jeżeli z drugiej strony uwzględni się, że była to sama jazda i to do stepów przywykła, jazda licząca około trzydzieści tysięcy ludzi, przyznać trzeba, że pod względem militarnym dokonali niezwykłego czynu wbrew wszystkim przypuszczeniom i rachubom.

POCHÓD PRZEZ góry cechował nie tylko pośpiech, ale i obawa ściganego zbrodniarza. Najmniejszy alarm, paniczny wywoływał przestrach, któremu ulegli kilkakrotnie. Zdarzyło się na przykład, że jeden z tatarskich oddziałów, kroczący przodem, natknął się w ciasnym miejscu wśród górskich wąwozów na popa idącego w towarzystwie sześciu chłopów. Pop z przestrachu czy też celowo wypalił z rusznicy, czym wywołał wielkie zamieszanie. Tatarzy sądząc, że wpadli w zasadzkę, w największym popłochu zaczęli zrzucać bagaże i łupy w jary i uciekać w tył ku swoim. Złączywszy się z nimi, opamiętali się, cały jednak pochód został wstrzymany. Dopiero oddział dwustu ludzi wysłany na zwiady, zbadał co się stało i uspokoił przerażonych. Pop pojmany przepłacił swój czyn życiem razem z czteroma towarzyszami, dwóch zaś uratowało się ucieczką. Porzucone łupy porwali tymczasem Tucholcy i obłowili się nimi sowicie.

PRZEPRAWIAJĄCĄ SIĘ dalej hordę śledziło dwóch chłopów, ukrytych w lasach. Żądza odbicia czegoś z łupów nie dawała im spokoju, postanowili więc spróbować szczęścia. W tyle za ciągnącym Tatarstwem postępowało trzydzieści wielbłądów, objuczonych łupami. Na samym końcu, za ostatnimi pięcioma, jechał Tatar, który siedząc na koniu cały zamykał pochód. Na niego wspomniani chłopi zwrócili swą uwagę, czekając na odpowiednią sposobność. Gdy ta się nadarzyła, wypadli niespodzianie z ukrycia w miejscu dogodnym, łatwo uporali się z Tatarem, po czym zabrawszy jego konia i pięć wielbłądów, spiesznie uprowadzili je w las. Cała tylna straż tatarska, spostrzegłszy co się nagle stało, pierzchła co rychlej w popłochu zostawiając wszystkie wielbłądy na drodze. Po chwili dopiero, sprowadziwszy pomoc, wrócili z powrotem, lecz prócz wielbłądów, stojących samotnie na drodze, nie zastali nikogo. Tymczasem odważni chłopi z pięcioma uprowadzonymi i z jednym koniem uszli szczęśliwie. Przywiedli je później do obozu polskiego i trzy z nich oddali w darze ks. Aleksandrowi Ostrogskiemu, którego byli poddanymi, czwartego darowali kanclerzowi, piątego Jerzemu Mniszchowi, konia sprzedali a łupy bogate w pieniądzach, w sukniach i innych rzeczach podzielili między siebie.

PRÓCZ TEGO rodzaju epizodów, innych przeszkód nie napotkali Tatarzy w górach. Szli przez nie szerokim pasem wzdłuż Oporu aż do Sławska, następnie wąwozem

Sławki aż do szczytów Beskidu, które tam między Błyścem a Czarną Repą wznoszą się na 800 metrów. Stąd pokonawszy wszystkie trudności terenu, wąwozem Jelenkowatego puścili się w dolinę Bystrej i dnia 11 lipca rano byli już na ziemi węgierskiej, we wsi Toronya. Spaliwszy ją „z najwyższą odwagą i zuchwałością waląc się dalej przez boki i szczyty gór", obeszli w wąwozie husztyńskim oddział węgierski, liczący pod dowództwem Kornisza 700 ludzi i zadali mu tak dotkliwą klęskę, że zaledwie 200 uciekło w las.

ZA KARPATAMI, na Węgrzech, w pobliżu Husztu, zatrzymała się horda, aby odpocząć po olbrzymich trudach i dokonać podziału uwiezionych łupów. Z uprowadzonym jasyrem załatwiła się krótko. Mając iść dalej, wymordowała go w znacznej części tak, że, jak zapewniali naoczni świadkowie „dla ogromnych wyziewów trupich przebywać tam było niepodobna".

HUFCE POLSKIE, pędzące za Tatarami, dnia 13 lipca dosięgły granicy węgierskiej, przekroczyły ją i doliną potoku Studenego doszły do wsi Kalecseny. Dalej, ze względu na obcą już ziemię, kanclerz kazał wstrzymać pościg. Żałowali wszyscy niezmiernie, że niezwykła sposobność zniszczenia wiekowego najeźdźcy „tak marnie" wymknęła się z rąk. Spóźniwszy się o dwa dni, wojsko Tatarów nawet nie widziało, trudy natomiast poniosło niezmierne. Skutkiem karkołomnej pogoni zniszczyło rynsztunki i konie okaleczyło nie mało. Mnóstwo wskutek tego wracało pieszo z powrotem. Frasował się bardzo kanclerz, smucili się wszyscy i wielu „ledwie nie do płaczu było" — mówi kronikarz.

DZIESIĘĆ DNI zajął przechód tatarski przez ziemie polskie. Przeszedł on jak burza nawalna, lecz ślady jego nie prędko się zatarły. Wszędzie, gdzie tylko przebiegł koń najeźdźcy, jedna ścieliła się ruina. Mnóstwo ludu straciło życie. Z niezliczonych wsi, miasteczek, dworów i zamków sterczały tylko zgliszcza, które długo potem stwierdzali i opisywali woźni grodzcy.

BEZKARNE przedarcie się Tatarów przez Polskę olbrzymie wszędzie wywołało wrażenie. W pierwszym rzędzie nie pozostało ono bez ujemnych następstw dla oręża cesarskiego na Węgrzech. Polska popadła w podejrzenie, że pozwoliła na to w porozumieniu z Turcją. Oburzano się na nią srodze za granicą. W kraju niezliczone podniosły się żale i skargi na niedostateczną obronę i straszliwe zniszczenie. Całą winę zaczęto zwalać na Zamojskiego, że zapóźno zebrał siły, że więcej był zajęty zakładaniem swojej Akademii w Zamościu, niż Tatarami. Znaleźli się oszczercy, którzy nawet takie rzucali nań podejrzenia, że wziął od chana podarunki.

WBREW TEMU nie ulega żadnej wątpliwości, że kanclerz spełnił swój obowiązek, że zrobił co mógł. Ostrzegał, wzywał do czujności i gromadzenia sił. Nie jego w tym wina, że mimo jego zabiegów i gorących uniwersałów, lekceważono sobie niebezpieczeństwo tatarskie, że siły zbierały się zbyt opieszale i spóźniły się, że sam doświadczony Żółkiewski nie mógł zdążyć na czas. Z drugiej zaś strony, że Tatarzy obrali drogę, której przebycie wydawało się wszystkim wprost niemożliwe, że szybkością i śmiałością ruchów „nad podziw" sparaliżowali wszelkie polskie plany i nadzieje. Mimo to cała ta sprawa stała się dla kanclerza najprzyk-

rzejszym epizodem w jego życiu. Boleśnie dotknięty usprawiedliwiał się energicznie, wykazywał bezpodstawność zarzutów, napisał i ogłosił drukiem otwarty list pt. „O przejściu Tatarów przez Pokucie 1594 r.", w którym dokładnie przedstawił cały ten fakt, długo jednak jeszcze potem był z tego powodu narażony nie tylko na różne przykrości, ale i dalsze trudy.

NIE BYŁO wykluczonym, że Tatarzy wracając z Węgrów, spróbują uczynić to tą samą lub najbliższą drogą, przez Karpaty. Należało wcześnie zapobiec temu Sprawą tą zajął się teraz sam Zygmunt III, który wrócił ze Szwecji i 20-go sierpnia przybył do Gdańska. Stąd też, zmartwiony srodze opisanym najazdem, już dnia 26 sierpnia 1594 r. wydał gorące uniwersały do szlachty, starostów i dzierżawców, wzywające ich do gromadzenia się przy hetmanie celem niedopuszczenia Tatarów z Węgier do Polski. Zamojski otrzymał polecenie, aby jak najstaranniej „granic pilnował" według „swej woli i potrzeby".

W TYM TEŻ celu król przybywszy do Krakowa „posłał mu ludu, co mogło być na prędce, w góry t. j. kilkanaście set człeka z Mikołajem Zebrzydowskim wojewodą lubelskim i Aleksandrem Koniecpolskim starostą wieluńskim". Przybył Zamojski z swoimi hufcami, a do niego pod grozą nowej klęski „nabiegło się było do kilkanaście tysięcy". Zebrało się wojsko silne i liczne. Obsadzono wszystkie przejścia karpackie, wysyłając ciągłe podjazdy. „Czekano Tatar na szlakach wszędzie", ale oni „jako to naród dziwnie ostrożny", dowiedziawszy się od szpiegów, „że wojsko polskie na granicy stoi", cofnęli się i „wrócili do domu przez tureckie kraje". Hufce polskie naczekawszy się napróżno Tatar, rozjechały się precz i nie został nikt tylko sam Zamojski z ludem służebnym i piechotą królewską". Dopiero w styczniu 1595 r. i on „nacierpiawszy się nie mało w górach, w styczniu na sejm powrócił". Pragnienie rozprawienia się z hordą i pomszczenia się za najazd — spełzło na niczym.

CZWARTY JUŻ wiek upłynął od owego najazdu, do dziś jednak pozostały po nim pamiątki. Jest nią dotąd istniejący klasztor OO. Dominikanów w Jezupolu. Jakub Potocki wykonał ściśle swoje ślubowanie złożone w chwili grożącej mu katastrofy. W sześć lat po niej, w r. 1600, na miejscu spalonego zameczku, ufundował i zbudował wspomniany klasztor, a zarazem zmienił pierwotną, „pogańską" nazwę miasteczka Czesybiesy na Jezupol, biorąc asumpt, jak twierdzą zapiski klasztorne, od okrzyku „Jezu daj pole!", wzniesionego w chwili wypadu z płonącego zameczku. Do wojny klasztor OO. Dominikanów w Jezupolu przechowywał stary, miernego pędzla, ale uwagi godny obraz, który przedstawiał owo ocalenie Jakuba Potockiego. W tle obrazu widać było płonący, drewniany zameczek z dwiema basztami, na przodzie Potocki na koniu, z szablą w dłoni przez tatarski przedziera się obóz. U spodu łaciński napis tymi słowy objaśniał ten epizod:

ILLUSTRISSIMUS Dominus Jacobus Potocki Palatinus Braclaviensis, Generalis Podoliae Camenecen: Latyczovien: Praefectus, Conuentus Iezupolien: Ord: Praed: Fundator, eo in loco, ubi olim arx lignea fuit, quae in obsidione Tartarorum per puerum immittentem incaute ignem in sulphureum pulverem, combusta est, ex qua

Potocki consenso equo de periculo ignis per medios hostium cuneos liber evasit, in rei ergo gratitudinem, dictum conuentum fundavit.

RÓWNIEŻ STAROSTA halicki, Stanisław Włodek, na pamiątkę szczęśliwej obrony halickiego zamku, zrestaurował w nim kaplicę św. Katarzyny. W kaplicy umieścił tablicę marmurową, na której kazał wyryć opis całego zdarzenia. Tablica owa przechowywała się tam jeszcze do końca XVIII wieku. Znikła z chwilą, gdy kaplica zamieniła się w ruinę, której szczątki sterczą po dziś dzień w ruinach halickiego zamku.

Aleksander Czołowski

Akta grodzkie halickie t. 103 (r. 1594).

Akta grodzkie trembowelskie t. 101 (r. 1594).

Zapiski klasztoru OO. Dominikanów w Jezupolu.

J. Zamojski. De transitu Tartarorum per Pocutiam a. 1594 epistola. Cracoviae 1594.

E. Hurmuzaki. Documente privitore la istoria Romanilor. t. III. str. 179—206.

Listy Stanisława Żółkiewskiego 1584—1620. Kraków 1868, str. 40—55.

A. Mosbach. Wiadomości do dziejów Polski z archiwum prowincji śląskiej. Wrocław 1860, str. 229—235.

K. Zakłyński. Znoszenia cisarja Rudolfa II z kozakamy. Lwów 1882, str. 1—16.

Pisarze dziejów Polski t. VIII. (Listy J. Zamojskiego) str. 107—110.

M. Bielski. Kronika wyd. Turowskiego str. 1712—13.

Heidenstein. Rerum Polonicarum libri XII. Francoforti 1672 str. 304.

S. Okólski. Orbis Polonus. Cracoviae 1641. t. II. str. 503 i Russia Florida, Leopoli 1664 str. 84—85.

Hasło Słowa Bożego. Lwów 1754 w rozdziale: Historya Obrazu Cudownego we Lwowie. Cud XI.

A. Czołowski. Z przeszłości Jezupola i okolicy. Lwów 1890, str. 43—56.

F. Papée. Skole i Tucholszczyzna. Lwów 1891, str. 41—44.



Zielemin nad Skolem najwyższa góra Karpacka, w obwodzie Stryjskim, od północy
Rys. z nat. i lit. M. B. Stęczyński 1847 z lit. P. Pillera we Lwowie – Nakładem K. Jabłońskiego we Lwowie.
(Ze zbiorów Muzeum im. XX. Lubomirskich w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie – ryc. 4849
wymiary oryginału 21·15 x 29·9)

KURHANY KOMAROWSKIE

W MALOWNICZEJ okolicy na przedgórzu Karpat, około 10 km na południowy - zachód od Halicza, leży duża wieś Komarów. Jest ona już od dawna znana w literaturze archeologicznej, a znalezione tu przedhistoryczne wyroby kamienne, miedziane i brązowe wymienione są w katalogu najstarszej wystawy archeologicznej we Lwowie w 1885 r. Niemniej od Komarowa bogate w zabytki przedhistoryczne są również i miejscowości sąsiednie, a więc Wiktorów, Sapahów, Medynia, Błudniki, Załukiew czy Kryłos. W każdej z nich w różnych czasach znajdowane były wyroby przedhistoryczne, przechowywane dziś po różnych muzeach. W latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia były w tych okolicach, głównie



Ryc. 1. Widok kurhanu nr 38 w Komarowie przed rozkopaniem

w Kryłosie, prowadzone wykopaliska, które swego czasu nabrały większego rozgłosu. Przeprowadzał je, niestety w sposób bardzo dyletancki, proboszcz gr.-kat. z Załukwi ks. Ławrecki oraz dr I. Szaraniewicz, profesor Uniwersytetu lwowskiego. Zainteresowania ich skupiały się głównie na zabytkach wczesno - historycznych, z czasów księstwa halickiego. Pozwoliły też one na stwierdzenie, że najstarszy Halicz książąt ruskich leżał na miejscu dzisiejszej wsi Kryłos.

W TYM SAMYM czasie zjechał tu również z Krakowa T. Ziemięcki. Z ramienia Akademii Umiejętności rozkopał on w 1886 r. kilka mogił przedhistorycznych w Wiktorowie oraz 4 mogiły w Komarowie. On też w sprawozdaniu z tych badań, umieszczonym w krakowskim „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej" podał wiadomość o istnieniu dużego cmentarzyska kurhanowego w Komarowie.

TE WSZYSTKIE dane dość dawno skierowały mą uwagę na okolice Halicza. Jednak dopiero pod koniec lata 1934 r. miałem sposobność wyjazdu do Komarowa,

gdzie udałem się wraz z drem Józefem Grabowskim, ówczesnym dyrektorem Muzeum Pokuckiego w Stanisławowie. Na miejscu też mogliśmy skonstatować, że wiadomość o cmentarzysku kurhanowym w Komarowie, podana przez T. Ziemięckiego, nie tylko była zgodna z rzeczywistością, ale że cmentarzysko to, nie licząc mogił, znajdujących się na terenie sąsiednich wsi, obejmowało przeszło 70 mogił, a więc więcej niż on podawał.

KURHANY wielkiego cmentarzyska komarowskiego ciągną się na przestrzeni kilku kilometrów grzbietem wzgórza, stanowiącego dział wód pomiędzy Łomnicą a Łukwią, dopływami Dniestru. Leżą one na polach i w lasach Komarowa i nowo po-



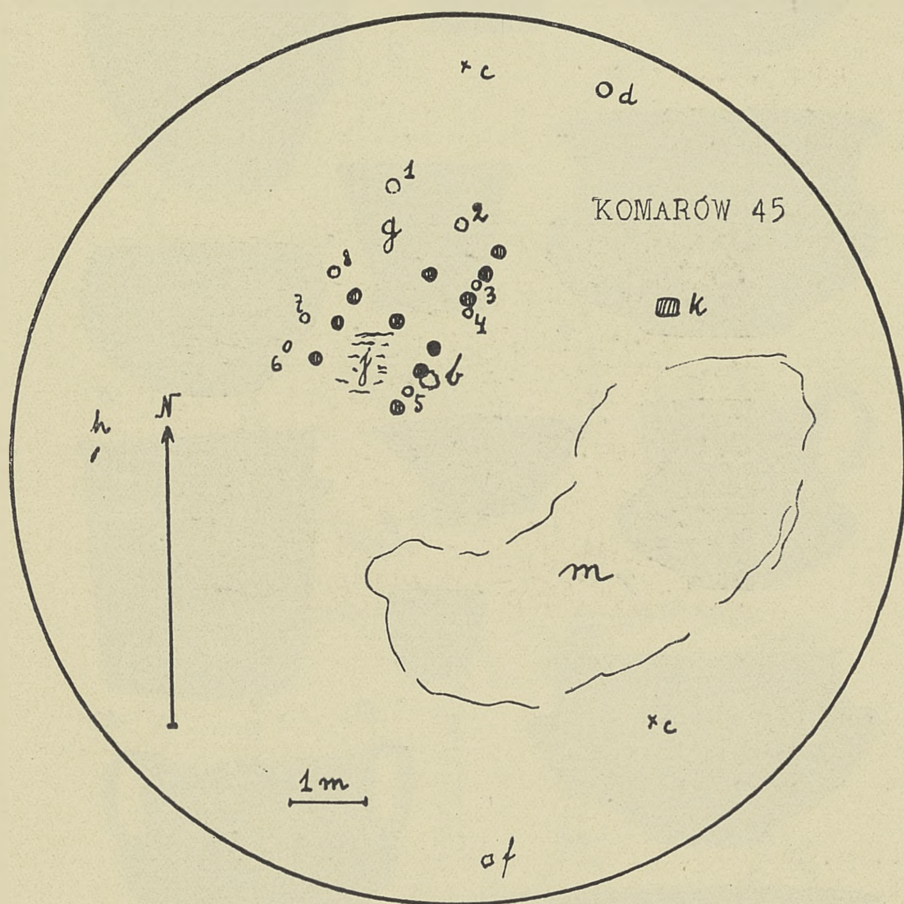
Ryc. 2 Widok kurhanu nr 28 w Komarowie po rozkopaniu

wstałych kolonij Komarówki i Ostoi, przechodząc dalej w obręb lasów i pól sąsiednich wsi Sapahowa, Bryni, Bednarowa itd., w kierunku południowym, a na północ lasami Kryłosa w kierunku Halicza.

RZECZ OCZYWISTA, że bodaj częściowe zbadanie tak wielkiego cmentarzyska było bardzo ponętne. Dzięki też pomocy finansowej ze strony Wojewódzkiego Funduszu Pracy w Stanisławowie, oraz serdecznej gościnności JWP. Tomaszostwa Horodyskich, mogliśmy rozpocząć badania, zatrudniając przy nich miejscowych bezrobotnych i małorolnych. Prowadziliśmy je przez 3 lata z rzędu a to w 1934 r. obaj łącznie z drem J. Grabowskim. W 1935 r. badania prowadził tylko dr Grabowski, zaś w 1936 r. ja sam. Pomocnymi nam byli w charakterze asystentów ówczesni studenci prehistorii na Uniwersytecie J. K. we Lwowie mgr Irena Siwkówna i mgr Kazimierz Żurowski. W czasie tym przekopano 61 mogił nietkniętych i skontrolowano mogiły rozkopane przez Ziemięckiego. W ten sposób zbadanych zostało łącznie 65 mogił, a tylko 7 mogił z terenu Komarowa pozostało nienaruszonych. Podczas tych badań natknęliśmy się na ślady rozległej osady przedhistorycznej, rozciągające się na jednym z łanów komarowskich. Na miejscu tym przeprowadzone również zostały próbne badania. Niestety z powodu braku funduszów nie mogły one być prowadzone w takich rozmiarach, na jakie zasługiwały.

MOGIŁY KOMAROWSKIE przedstawiają się jako różnej wielkości nasypy ziemne

(ryc. 1). Przeważna ich część ma średnicę około 20 m, wysokość zaś waha się u lepiej zachowanych, położonych głównie w lesie, od 1—2 m. Najwyższa mogiła miała około 3 m wysokości. Znacznie gorzej zachowane były mogiły na polach ornych. Ich przeciętna wysokość wynosiła około 50—60 cm, a niektóre były już tak rozorane, że stanowiły ledwie widoczną wyniosłość. Nieraz dopiero ich roz-



Ryc. 3 Plan kurhanu nr 45 w Komarowie (c, d, f, h, m — węgielki, fragmenty ceramiczne i krzemyki; g — grób z 9-cioma naczyniami nr 1—8, b; j — ślady szkieletu; k, oraz zakreskowane kółeczka oznaczają położenie dużych otoczaków rzecznych).

kopanie i zabytki w nich znalezione przekonywały o tym, że były to rzeczywiście nasypy mogilne.

DO ROZKOPYWANIA mogił stosowano różne techniki. Małe, niskie mogiły przekopywano całe, zbierając kolejno po jednym sztychu na całej przestrzeni, pozostawiając na środku tzw. „świadka", tzn. mały rdzeń nierozkopanej ziemi, aby mieć oznaczony środek mogiły i przekrój jej warstw (ryc. 2 na środku). Większe mogiły kopano ćwiartkami, zbierając również warstwę po warstwie. Dochodząc do warstwy z zabytkami postępowano bardzo ostrożnie, odczyszczając napotkane przedmioty małymi łopatkami, nożykami i miotełkami i pozostawiając je na miejscu aż do odsłonięcia całej mogiły (ryc. 2). Oczywiście, że tego rodzaju praca zajmowała wiele czasu i wymagała wielkiej wprawy i cierpliwości. Jednakże na

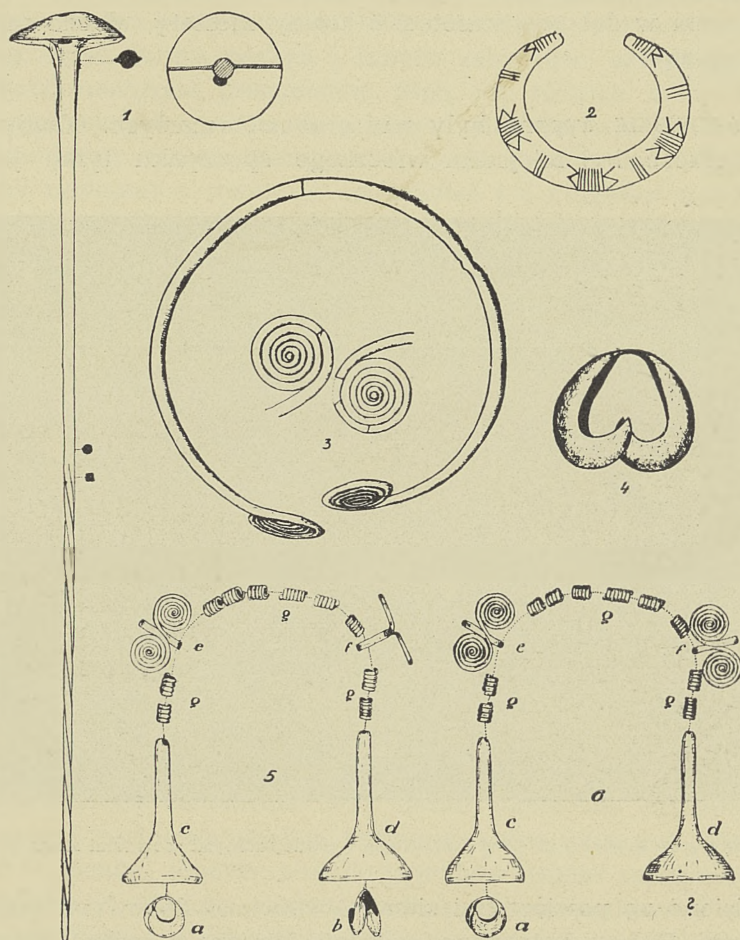


Ryc. 4 Kilka typowych naczyń kultury komarowskiej z różnych okresów. 1–4 formy najstarszej fazy, 13–14 najmłodsze. (1 – Krasów pow. lwowski, 2-4 – Sarniki pow. bobrecki, 3, 6, 9, 10, 14 – Komarów pow. stanisławowski, 5, 12, 13 – Bukówna pow. tłumacki, 7, 8 – Stopczatów pow. kołomyjski, 11 – Okniany pow. tłumacki).

pochwałę naszych komarowskich robotników należy podkreślić, że wykonywali ją niezwykle chętnie i z wielką pieczołowitością postępowali z zabytkami. Niektórzy z nich przez przeciąg trzechletnich badań doszli do bardzo wielkiej wprawy.

NASTĘPNYM ETAPEM pracy było wykonanie planu układu zabytków w każdym

kurhanie z osobna (ryc. 3) oraz szczegółowy opis odsłoniętego grobu. Dopiero po dokonaniu tego wszystkiego można było przystąpić do zbierania zabytków. Każde naczynie i wogóle każdy przedmiot otrzymywał swój kolejny numer. Następnie zawijano je starannie w papiery lub składano do przygotowanych na ten cel pudełek, a potem, po przeschnięciu, pakowano do pak. Dalsza praca czekała



Ryc. 5 Brązowe szpila, naszyjnik, bransoleta i zausznice z kurhanu nr 8 z Komarowa. Zawieszki nr 4, 5a, b, 6 a są ze złota. Zmniejszenie 1:3

już w Zakładzie Prehistorii Uniwersytetu J. K. we Lwowie, gdzie każdy przedmiot trzeba było odczyścić z gliny, metalowe zabytki zakonserwować aby nie ulegały rozkładowi, zaś pobite i pogniecione naczynia gliniane polepić, uzupełniając specjalną masą i gipsem brakujące ich części.

MOGIŁY KOMAROWSKIE zawierały różne ilości naczyń glinianych. Najzasobniejsze miały ich kilkanaście, przy czym każde z nich było innego kształtu. Wiele mogił posiadało tylko po jednym lub po kilka naczyń, a duży odsetek nie posiadał ich w ogóle. Naczynia te były zawsze starannie wykonane, pięknych kształtów, zaś powierzchnia ich była wygładzona i pokryta ornamentyką geometryczną, na którą składały się linie proste, rzędy zakreskowanych trójkątów, festony, żeberko-

wania itp. (ryc. 4). Niestety były one prawie zawsze pogniecione ciężarem ziemi i silnie uszkodzone. Oprócz ceramiki znajdowano i inne przedmioty, a więc kamienne toporki bojowe, krzemienne siekierki i inne wyroby. Kilka grobów zawierało wyroby brązowe i złote. Szczególnie bogato wyposażony był kurhan nr 8, bardzo zresztą niski i niepokaźny. Znaleziono w nim brązową szpilę, naszyjnik, bransoletę i zausznice, zakończone złotymi wisiorkami (ryc. 5). Przedmioty te złożone były razem w dębowej kasetce, z której niestety, dochowały się tylko bardzo drobne szczątki.

KURHANY KOMAROWSKIE sypane były nad grobami zmarłych. Każdy z nich, bez względu na wielkość, był miejscem wiecznego spoczynku tylko jednej osoby.



Ryc. 6 Ciałopalny grób kurhanu nr 13 w Komarowie z niedopalonymi resztkami stosu po odsłonięciu.

Zmarłego kładziono na powierzchni ziemi, obstawiano dębowymi brusami czy też grubymi deskami. Dokoła ustawiano naczynia gliniane z jadłem, które wedle ówczesnych wierzeń potrzebne było zmarłemu na wędrówkę pośmiertną. Dokoła grobu, a często i na same zwłoki, rzucano kilka garści węgla drzewnego, a gdy wszystko było gotowe, sypano nad grobem mogiłę. Rzadko tylko spotyka się mogiły, w których zmarły pochowany był w niegłębokim dole, nad którym dopiero usypano mogiłę. Kości zmarłych w żadnym z kurhanów komarowskich nie dochowały się w dobrym stanie, a w przeważnej części mogił nie było z nich nawet najmniejszych śladów. W ilastej ziemi podkarpackiej uległy one zupełnemu rozkładowi. Tylko w kilku kurhanach udało się stwierdzić niezwykle nikłe resztki szkieletów, przeważnie szczątki czaszki, a szczególnie zębów. W kilku mogiłach stwierdzone zostało ciałopalenie. Zmarłego kładziono na niewielkim stosie, obstawiając go naczyniami glinianymi z jadłem. Dopiero po spaleniu sypano nad zgliszczami stosu mogiłę (ryc. 6). W grobach takich zachowały się dość dobrze niedopalone resztki kości, nie ulegając po przepaleniu takiemu rozkładowi, jak kości nie spalone.

KURHANY KOMAROWSKIE nie pochodziły z jednego czasu. Jak miałem możność stwierdzić opracowując je naukowo*), wykazują one ogromną rozpiętość czasową. Najstarsze groby pochodzą z końca młodszej epoki kamiennej, a więc z czasów około 1800 lat przed Narodzeniem Chrystusa, gdy najmłodsze trzeba datować na czasy około 700—500 lat przed Narodz. Chrystusa. Zwyczaj zatem chowania zmarłych na grzbiecie wzgórza i sypania mogił nad grobami trwał w Komarowie nieprzerwanie przez przeszło 1000 lat. Rzecz oczywista, że przez tak długi przeciąg czasu formy naczyń i innych zabytków, składanych zmarłym do grobów, ulegały znacznym przemianom. Stąd też różnice w inwentarzach najstarszych i najmłodszych grobów są znaczne. Mimo to daje się doskonale śledzić kolejne przechodzenie z form starszych w coraz to nowsze. Ciągłość tego rozwoju świadczy najlepiej o trwałości osadnictwa i o ciągłości tradycji.

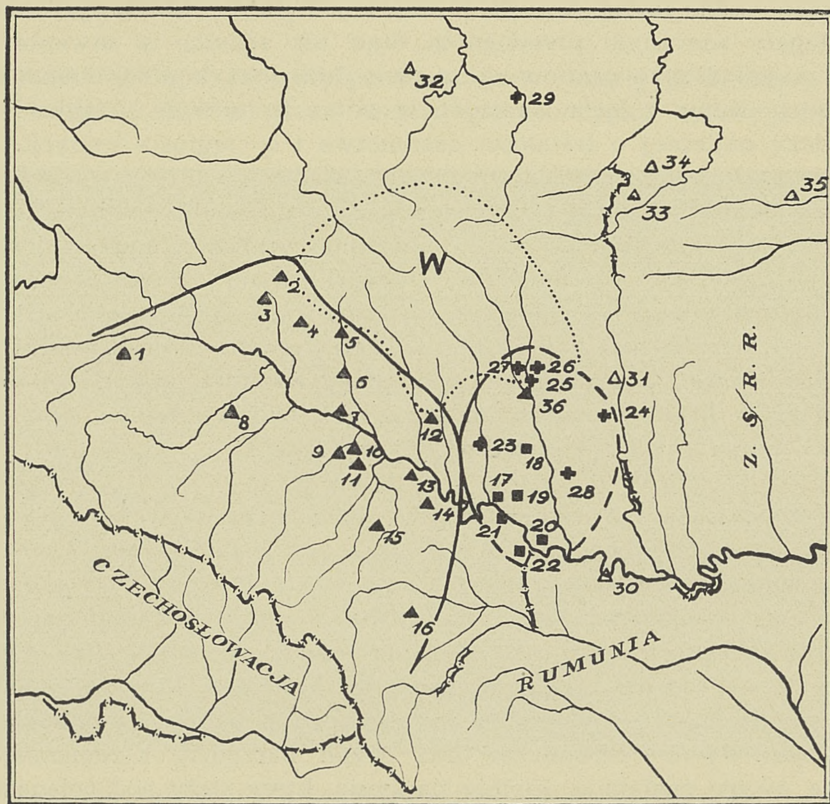
OPRÓCZ ROZKOPYWANIA kurhanów przeprowadzono również badania na miejscu dość rozległej osady przedhistorycznej, położonej w dolinie rzeki Łukwi, nad potokiem do niej wpadającym. Ślady tej osady w postaci licznych fragmentów ceramicznych, grudek przepalonej podczas pożarów gliny, połupanych kości zwierzęcych, narzędzi krzemiennych itp. znajdowano na znacznej przestrzeni na powierzchni ziemi ornej, porozciągane przez pługi. Niestety brak odpowiednich funduszów nie pozwolił na prowadzenie większych badań i trzeba było ograniczyć się do przekopania tylko niewielkiego jej wycinka.

NA ROZKOPANYM terenie odkryłem resztki kilku spalonych chat. Na podstawie zachowanych śladów, głównie węgli, przepalonej gliny itp., można było ustalić, że były one jednoizbowe o wymiarach mniej więcej 4×5 m. W jednym narożu stał zawsze piec typu piekarskiego, wylepiany z gliny. Podłogę stanowiła ubita glina. Ściany były drewniane. Aby uniknąć wilgoci, podwaliny domów ustawiano na dużych otoczakach rzecznych i one to doskonale odtwarzały zarysy chat. Z samego urządzenia zachowały się tylko zupełnie pobite i pogniecione naczynia, drobniejsze wyroby ceramiczne oraz liczne narzędzia krzemienne. Spośród ceramiki na uwagę zasługują wielkie naczynia, które stały pod ścianami, wkopane częściowo w ziemię. Służyły one do przechowywania zapasów zboża i mąki. Zabytki znalezione w obrębie osady świadczą, że zamieszkiwana ona była przez dłuższy czas pod koniec młodszej epoki kamiennej i w początkach epoki brązu. Była ona zatem współczesna części kurhanów komarowskich. Sądząc po jej rozległości należy przypuszczać, że zamieszkiwało ją co najmniej kilka lub może raczej kilkanaście rodzin.

POWYŻSZE SPOSTRZEŻENIA, dokonane podczas prowadzenia badań na osadzie, nasunęły siłą rzeczy nowe pytanie: kto właściwie mógł być chowany w kurhanach komarowskich? Czy możliwe jest, aby były one grobami wszystkich mieszkańców badanej osady? Ilość bowiem kurhanów nie stoi w żadnym stosunku do prawdopodobnej ilości mieszkańców osady. Porównując okres czasu, z jakiego pochodzą mogiły komarowskie, z ich ogólną ilością można łatwo obliczyć, że jeden kurhan

*) W pracy pt. „Kultura komarowska", która ukaże się jako 4-ty tom „Prac prehistorycznych" Polskiej Akademii Umiejętności.

przypada na kilkanaście lat. Rzecz oczywista, że w tych warunkach trudno byłoby twierdzić, że kurhany komarowskie były grobami szerokich warstw ludności. Z powyżej przytoczonego porównania wynika bardzo jasno, że kurhany komarowskie mogły być miejscem wiecznego spoczynku tylko wybranych jednostek, stojących niewątpliwie wysoko w hierarchii ówczesnego społeczeństwa. Natomiast groby ogółu ludności musiały wyglądać inaczej, na razie jednak nie natrafiono na nie.



Ryc. 7 Zasiąg kurhanów typu komarowskiego (nr 1–16) i innych współczesnych im grup kulturowych. 1 – Horodyszcze pow samborski. 2 – Czyżyków pow. lwowski. 3 – Krasów pow. lwowski. 4 – Sarniki pow. bobrecki. 5 – Janczyn pow. przemyślański. 6 – Putiatyńce pow. rohatyński. 7 – Tenetniki pow. rohatyński. 8 – Daszawa pow. stryjski. 9 – Komarów pow. stanisławowski. 10 – Podgrodzie pow. stanisławowski. 11 – Kryłos pow. stanisławowski. 12 – Wolica pow. podhajecki. 13 – Bukówna pow. tłumacki. 14 – Okniany pow. tłumacki. 15 – Bratkowce pow. stanisławowski. 16 – Stopczatów pow. kołomyjski). – Po stronie wschodniej przylega terytorium kultury »białopotockiej« (Biały Potok pow. czortkowski). współczesnej kulturze komarowskiej, zaś od północnego wschodu, oznaczone literą W. terytorium kultury »wysockiej« (Wysocko pow. brodzki).

WIELKIE CMENTARZYSKO kurhanowe w Komarowie nie jest bynajmniej jakimś wyjątkowym zjawiskiem. Na Podkarpaciu pomiędzy Samborem a Kołomyją znanych jest kilka analogicznych cmentarzysk, a na niektórych z nich, jak np. w Daszawie koło Stryja, prowadzone były badania. Na żadnym jednak nie prowadzono ich w tak dużym zakresie jak w Komarowie. Podobne cmentarzyska, obejmujące czasem mniejszą ilość kurhanów, a gdzie niegdzie tylko pojedyncze mogiły, spotyka się również na Opolu aż poza Lwów jak np. w Krasowie czy Czyżykowie w pow. lwowskim, oraz na Pokuciu jak np. w Oknianach lub Bukównej w pow. tłumackim. Na kilku z nich były również prowadzone badania. Obecnie znanych jest

łącznie 16 miejscowości z tego samego rodzaju badanymi mogiłami, jak w Komarowie (ryc. 7, nr 1—16).

ZABYTKI ZNAJDOWANE w powyższych kurhanach, rozrzuconych na dość znacznym terytorium, są na ogół bardzo jednolite i podobne do siebie. Odcinają się one wyraźnie od współczesnych im zabytków z sąsiednich terytoriów, tworząc w ten sposób zamkniętą geograficznie całość. Tego rodzaju zwarte grupy zabytków nazywamy w prehistorii „kulturami". Naszą kulturę zwiemy od cmentarzyska w Komarowie „kulturą komarowską". Kultury takie są pozostałościami po różnych, przeważnie bezimiennych, ludach i szczepach, jakie zamieszkiwały dany obszar w zamierzchłej przeszłości. Niestety i nasza kultura komarowska musi pozostać bezimienna; dla braku jakichkolwiek źródeł historycznych nie da się dziś stwierdzić, jaką nazwę nosił ów lud, który ją pozostawił. Można tylko przypuszczać, że był to jakiś szczep tracki, tj. należał do wielkiej grupy ludów indoeuropejskich, jakie zamieszkiwały ongiś Niż węgierski i kraj pomiędzy Karpatami a Morzem Czarnym, od Tracji (Bułgarii) po Ukrainę. Zromanizowanym szczątkiem ludów trackich są dzisiejsi Rumuni.

KULTURA KOMAROWSKA znana jest nie tylko z wielkich cmentarzysk kurhanowych. Należy do niej również kilka odkrytych osad, nie licząc osady w samym Komarowie. Najliczniejszym jednak działem jej zabytków są różne znaleziska brązowe, znajdowane przypadkowo przy różnych sposobnościach, oraz tzw. „skarby" brązowe, tj. znaleziska większej ilości przedmiotów brązowych, w chwili niebezpieczeństwa ukrytych w ziemi przez ich przedhistorycznego właściciela. Kraj nasz nie posiada własnych złóż miedzi i cyny, tzn. składników brązu. Wyroby brązowe musiano do nas sprowadzać zza Karpat, z Siedmiogrodu i północno - wschodnich Węgier. Liczne znaleziska brązowe na przełęczach karpackich znaczą doskonale drogę, jaką się one do nas dostawały.

NAJWIĘKSZY ROZWÓJ handlu kultury komarowskiej przypadł na czasy około 1000 lat przed Narodz. Chrystusa. W czasach tych sprowadzano do nas nie tylko wytwory przemysłu brązowego Niżu węgierskiego, ale również bardzo ozdobne i pięknie wykonane naczynia brązowe, czarki, kociołki, w wyrobie których wyspecjalizowały się wytwórnie wschodnio-alpejskie i północno-italskie. Kraj nasz odgrywał wówczas również rolę pośrednika. Tędy szły na wschód, nad Dniepr, naddunajskie wyroby brązowe. O rozległości stosunków handlowych świadczą najlepiej przedmioty wykonane w środkowej Italii oraz Francji, znalezione na Ukrainie. Rozwój tego międzynarodowego dalekosiężnego handlu możliwy był tylko dzięki niezwykle spokojnym i ustabilizowanym stosunkom, jakie wówczas panowały w środkowej Europie przez przeciąg kilku stuleci.

CZASY POMYŚLNOŚCI skończyły się w okresie około 700 lat przed Narodz. Chr. Rozpoczęły się wówczas najazdy koczowniczych ludów scytyjskich. Opanowanie przez Scytów Niżu węgierskiego spowodowało przerwanie kontaktów kultury komarowskiej z zachodem. Zapewne też najazdy Scytów podkopały jej byt. W okresie najazdów scytyjskich zaczęła się kultura komarowska chylić ku upadkowi i niebawem znikła z widowni.

Tadeusz Sulimirski

GŁOS ANGLIKA O POLSCE I HUCULSZCZYŹNIE*)

W KRAJACH Zachodniej Europy Polska uważana jest jeszcze i teraz za świat egzotyczny. Zresztą i nasi wybitni pisarze (Ksawery Pruszyński, Dzikowski) uważają dzielnice na północ od Warszawy i na wschód od Lwowa za obszary pełne tajemnic. Mieszkańcy Wielkiej Brytanii dawno już zwrócili uwagę na nasze Karpaty, jako na źródło obfitych przeżyć z bogatą prymitywną przyrodą. Już w roku 1890 zapędziła się na Huculszczyznę entuzjastyczna wielbicielka Thoreau, miss M. M. Dowie. W kilkanaście lat potem opisywała doliny Prutu i obydwu Bystrzyc miss Floss Farmbourough.

P. BERNARD NEWMAN wybierając się do Polski kierował się innymi zainteresowaniami. Dla niego nie była to prymitywna kraina, skłaniająca do szukania syntezy w samotni leśnej. Chciał zwiedzić i poznać państwo, którego byt polityczny i stosunki narodowościowe wzbudzały zaciekawienie i wątpliwości. Co roku wybierał się na zwiedzanie okolic bliskich, a jednak większości jego ziomków znanych tylko z imienia. Oglądnął więc Południową Francję, zwłaszcza Camargues, spisując swe wrażenia w książce „Śladami Trzech Muszkieterów". Następnego lata dążył z Czarnego Lasu do Rumunii, od źródeł do ujścia Dunaju. Owocem tej podróży była książka pt. „Modry Dunaj".

NOWOCZESNY SPOSÓB podróżowania nie odpowiada jego zamiłowaniom. Pospieszne pociągi mknąc szybko, nie pozwalają na dokładniejsze obserwacje i zupełnie wykluczają zetknięcie się z ludnością miejscową. Wędrówka piesza trwa zbyt długo, samochód zaś, pomijając jego koszta, nie wszędzie może dotrzeć. Z tych to względów p. B. Newman wybrał rower jako najstosowniejszy dla niego środek lokomocji. Na rowerze objechał Południową Francję, na rowerze jechał przez lasy Schwarzwaldu, równiny węgierskie i rumuńskie wioski nad dolnym Dunajem. Ten sam rower miał go też obwieźć po całej Polsce, gdy w roku 1934 wyruszył z Londynu na letnią wędrówkę.

W WSTĘPIE DO swej książki o Polsce omawia cel i trasę swej podróży. Jedzie z Gdańska do Gdyni przez całą Polskę, Litwę Kowieńską, Prusy Wschodnie i obszar Wolnego Miasta Gdańska. Książka p. Newmana nie jest przewodnikiem po Polsce. Nie dotarł do każdego zakątka kraju i wielu rzeczy nie widział. Spisał jednak wszystko co wie, czego się dowiedział w czasie swych wędrówek. Nie przecenia tego co pisał o sztuce i architekturze polskiej i radzi skrupulatnym czytelnikom, aby odnośne ustępy po prostu opuszczali, gdyż obawia się, że mógłby ich w błąd wprowadzić. Umiłował wolne obszary nieznanego mu kraju, a zaciekawia go ludność, przede wszystkim ludność.

B. NEWMAN zwiedził Polskę według pewnego planu, często jednak jechał na chybił-trafił. Do książki swej dołączył mapkę z trasą, którą przebył. Opisuje Polskę tak, jak się nasuwała jego spostrzeżeniom.

---

*) Bernard Newman. Rowerem po Polsce. (Pedalling Poland, Herbert Jenkins Limited 3 York St. James London S. W. I. First printing 1935).

ZAWZIĘTY ROWERZYSTA jechał do nas z pewnymi przesłankami politycznymi, chciał osobiście wejrzeć w „sprawę Polską", która ciągle jeszcze zaprząta państwa zachodnie i która według jego przepowiedni zawsze istnieć będzie.

JAK NA PAŃSTWO, które stanęło już na wyżynie, gdzie musi być uznana wielkim mocarstwem, Polska jest dziwnie nieznana w Anglii. Dla przedwojennych pokoleń Anglików była to sentymentalna nazwa kraju, który zniknął z mapy Europy. W czasie powstań sympatie polskie wyrażały się często, ale zawsze platonicznie. Odbudowana po wojnie Polska znalazła w Anglii najlepszą i najżyczliwszą przyjaciółkę. Później, wyznaje p. Newman „z żalem", serdeczność W. Brytanii wobec nas ogromnie zmalała. Zastanawia się nad przyczynami tego odpływu dobrych uczuć u swych rodaków w stosunku do nas i widzi je zarówno w nieszczęsnym „korytarzu", jak i w psychologicznym nastawieniu Anglo - Sasów opiekunów uciśnionych, odwracających się od swych pupilów z chwilą, gdy im się zaczyna choć trochę lepiej powodzić.

ANGLICY JAKO konserwatyści z krwi i kości nie chcą uznać, że centrum Europy to nie Berlin, ani Wiedeń, ale Warszawa. Nie dostrzegli, że linie łączące Gibraltar z Archangielskiem, Islandię z Konstantynopolem, Nordkap z przylądkiem Matapan, Sycylię z morzem przecinają się wszystkie w Warszawie.

NAJBLIŻSZE DZIESIĘĆ lat rozwoju Polski wpłynie wybitnie na losy Europy i żadne państwo nie ma tylu zawiłych problemów do rozwiązania, od żadnego nie zależy w tym stopniu kwestia utrzymania pokoju w Europie. Anglia nie może umywać rąk wobec trudności z jakimi walczy Polska, bo w pewnym momencie może się to ciężko pomścić.

NEWMAN PRZYZNAJE, że Polskę zwiedzał bez uprzedzeń, a opisał życzliwie. Nie otrzymał żadnego subsydium. W Polsce czuł się szczęśliwy i polubił ją ogromnie. Starał się jednak zbierać informacje bezstronne, rozmawiając gdzie się tylko zdarzyła sposobność z mniejszościami narodowymi.

DO GDAŃSKA przybył statkiem przewozowym, na którym przywiózł swój angielski rower. Rower ten, stary towarzysz podróży nosił imię „George". Newman nocował najchętniej po wsiach, bagaż jego mieścił się w wojskowym plecaku. Wyjeżdżając znał oprócz angielskiego język francuski i trochę niemieckiego. Uzbroił się na drogę w nóż do obierania kartofli ze stali nierdzewnej. Gotówką wziął 20 funtów szterlingów.

INTERESOWAŁY GO zagadnienia mniejszościowe. Jadąc z Gdańska przez „korytarz", starał się zbliżyć do ludności niemieckiej, która odnosiła się do jego prób nawiązania kontaktu bardzo nieufnie. Przez Grudziądz, Bydgoszcz, Gniezno, Poznań, Łowicz dojechał do Warszawy. Uwagi jego o naszej stolicy nie pozbawione humoru, są jednak pełne uznania dla wysiłków podniesienia się ekonomicznego i kulturalnego. Po zwiedzeniu Częstochowy, Górnego Śląska, Krakowa, Zakopanego podąża do Lwowa, a stamtąd na teren województwa stanisławowskiego. Z Huculszczyzny wraca do Lwowa, skąd przez Brody po rozmiękłych od deszczu gościńcach

brnie na Wołyń i Polesie. Białowieża i Wilno są ostatnimi etapami pobytu jego na naszych ziemiach. Przez zamkniętą, zieloną granicę wkracza na tereny państwa litewskiego. Z Kowna jedzie do Kłajpedy i do Prus Wschodnich, aby naocznie przekonać się o teutońskiej potędze pod Tannenbergiem u stóp grobowca Hindenburga.

PAN NEWMAN jest obserwatorem bystrym, bezstronnym, do wszystkiego odnosi się z humorem, nie przechodzącym w złośliwość. Najwięcej czasu zajął mu Kraków. Poznał tam ludzi, którzy dostarczyli mu informacyj i pokazali mu wszystko, co było godne widzenia. Pogląd swój na sprawę Polską i znaczenie Krakowa w ostatnich latach przedwojennych wyraża słowami: „W Krakowie proklamowano polskie ideały, nadzieje i marzenia. W Krakowie też gromadzili się ludzie, którzy nie zadowalniali się mrzonkami ale dążyli do rzeczywistości. W Krakowie tworzyło się tysiące spisków, niektóre z nich były fantastyczne, niektóre heroiczne. Ale w każdym razie jeden z nich był poważny na śmierć i życie. Gdy Piłsudski tworzył legiony, jasno przewidywał przyszłość. — I jakbyśmy nie osądzali Piłsudskiego, musimy obnażyć głowę przed jego jasnowidzeniem politycznym. Kto w r. 1914-ym mógłby przepowiedzieć bieg wypadków, którym Polska zawdzięcza swe zmartwychwstanie — najpierw klęskę Rosji a potem mocarstw centralnych? Zakładanoby się tysiąc przeciw jednemu, przeciw takim prognostykom. Ale Piłsudski nie tylko przewidywał, on zaryzykował całość sprawy polskiej i życie własne dla swych przewidywań, a nie wyłącznie dziełem szczęśliwego przypadku były te szczęśliwe dla Polski wyniki".

DOWODEM pogodnego humoru i bystrości spostrzeżeń p. Newmana niech będą jego uwagi o kobiecie polskiej. Słyszał dużo o piękności Polek, doznał pod tym względem rozczarowania. Niewątpliwie istnieją i takie w luksusowych hotelach i kawiarniach, do których nie uczęszczał. Ale przeciętna Polka nie jest ładna, ma tylko głos miły, co jej ogromnie dodaje uroku. — „Ale jeśli nie mogę wielbić Polek ze względu na ich urodę, muszę pochylić czoło przed ich inteligencją. W żadnym kraju nie znalazłem podobnej. Wieśniaczka jest cięta i spostrzegawcza, kobieta wykształcona jest zawsze zdumiewająca. Spotykałem w czasie mej wędrówki po Polsce masę Polek, z których każda była niepospolitym zjawiskiem. Erudycja ich jest zdumiewająca, znajomość języków, zwłaszcza dla Anglika niezwykła, umiejętność prowadzenia dyskusji ogromna, a dowcip niezrównany. Cnota moja nie była w Polsce narażona na pokusy, jednak towarzystwa kobiecego szukałem częściej, niż to jest moim zwyczajem, ponieważ kocham się w czarach konwersacji. Inteligencja kobieca w Polsce musi być zaliczona do najwyższych w świecie. Pani Curie nie była zjawiskiem wyjątkowym".

DLA CZYTELNIKÓW „Złotego Szlaku" specjalnie będzie ciekawe to, co pan Newman widział w województwie stanisławowskim i jakie myśli nasunęły mu się przy zwiedzaniu tych stron.

PODAJĘ WIĘC odnośny rozdział w tłumaczeniu bez żadnych opuszczeń.

KSIĄŻKĘ ZDOBIĄ ilustracje według własnych zdjęć autora. Niestety zdjęcia jego

z terenu huculskiego nie tylko nie są charakterystyczne dla ludu o którym pisze, ale właśnie wynalazł naleciałości i objawy zepsucia pięknego stroju ludowego. Fotografował w najlepszej wierze, a przedstawił jak nie powinien wyglądać ubiór Hucułki.*)

Janina Zubrzycka

I.

„NAPRZÓD, na południe! Poza przypomnieniami z czasów wojny, pierwszy dzień wędrówki nie przyniósł nic specjalnie ciekawego. Okolica była monotonna, pozornie równina, a właściwie płaskowyż. Wioski bardzo zniszczone podczas wojny były zwyczajnym konglomeratem parterowych, drewnianych chat krytych słomą i nowocześniejszych okropności z czerwonej cegły. Dopiero koło południa widok zaczął mi się podobać; zobaczyłem przed sobą znowu przedgórza Karpat. Wkrótce wjechałem między pagórki, droga wznosiła się łagodnie. Szosa była nie zła, a tylko moja nienasycona żądza gadania z każdym i wszędzie sprawiła, że podróż moja trwała calutki dzień. Zresztą nie było żadnych innych przyczyn opóźnienia. W każdym razie zmrok zapadał, gdy wjeżdżałem do Stanisławowa.

BYŁ WIECZÓR sobotni i coś się przygotowywało. Orkiestra dęła ochoczo w trąby i gromadziły się tłumy. — Znowu defilada — domyśliłem się, — tym razem defilada nowego Korpusu Ochrony Pogranicza. Nieraz jeszcze wspomnę tych ludzi, ponieważ stykałem się z nimi później w bardziej codziennych warunkach.

STANISŁAWÓW jest całkiem nowoczesny i mógłby być prowincjonalnym miastem w którymkolwiek z europejskich krajów. Jego ulice są pospolite, a budynki nowe i okazałe — zwłaszcza po przesyceniu się drewnianymi chałupami. Hotel „Union", w którym się zatrzymałem, jest powojenny, niedrogi i całkiem przyzwoity. Zanim tam zaszliśmy, objechaliśmy miasto po nocy. Większe ulice mają nawierzchnie z najgładszego asfaltu i „George" dopominał się, abyśmy tutaj pozostali kilka dni. Serce moje okazało się twarde: jutro jest niedziela, a ja przecież postanowiłem spędzić niedzielę między Hucułami.

MAŁO BYŁO sposobności do spania. Dęta orkiestra ma specjalną siłę przenikania przez mury i zamknięte okna. Nadużywano też w przedziwny sposób cymbałów, rozdzierających uszy z bliska a strasznie monotonnych z oddali. Konkurencyjne kapele popisywały się w kawiarniach i na otwartych placach. Setki ludzi tańczyło, jedni zespołowo, inni zaplątali się tu przypadkiem. Mnóstwo studentów, chłopców i dziewcząt paradowało w jaskrawo czerwonych koszulach i spodniach. Wieśniacy z pobliskich wiosek dodawali barwności szczątkowymi strojami regionalnymi. Dziewczęta ubrane były w czarne kaftaniki, żółte lub czerwone spódnice i pięknie haftowane fartuchy.

---

*) Wobec tego ilustrujemy wrażenia p. Newmana na Huculszczyźnie fotografiami niewiążącymi się z treścią, a nagrodzonymi ostatnio na wystawie „Piękno Huculszczyzny", zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w Kołomyi (Przyp. red.).

POLACY TAŃCZĄ z zapałem, zaparciem siebie i temperamentem. Tańczyli o dziesiątej, gdy kładłem się spać i tańczyli jeszcze, gdy wstawałem o wpół do piątej. O ile wiem, tańczą jeszcze i teraz. Czy orkiestra grała całą noc — nie wiem, ale wiem z całą pewnością, że to ona wygnała mnie z miasta. Zaiste brzmiała męcząco. Kornet robił jakieś przeraźliwe wysiłki w górnych tonach, grający na francuskim rogu omdlewał nad swym instrumentem, ale grał. Tylko cymbalista zachowywał pierwotną krzepkość w chwili, gdy kierowałem opornego „George'a" na południe. „George" umieścił Stanisławów na wysokim szczeblu hierarchii miast polskich, nie obchodziło go wcale, ilu ma mieszkańców, tylko to, że Stanisławów ma ulice o nawierzchni asfaltowej.

II.

PRZEMIERZALIŚMY bardzo ciekawe okolice, spiesząc w kierunku zagadkowego polskiego trójkąta, zawartego między granicami Czecho - Słowacji i Rumunii, a zamieszkałego przez najbardziej fascynujące w całej Europie plemię Huculów. Huculi są plemieniem ruskim, ale przez setki lat żyli odosobnieni między górami i zachowali wiele starodawnych cech wraz z folklorem, który już przeważnie zaginął w bardziej uświadomionych okolicach.

PRZEZ KILKA godzin droga wiodła wzdłuż rzeki, której koryto z obydwu stron zamykały urocze pagórki. Nagle gdy dotarłem do małego miasteczka Nadwórnej, pagórki zamieniły się w góry. Od tej miejscowości poczynając dolina staje się niezwykle malownicza. Wkrótce potem musiałem drapać się na niską przełęcz do Delatyna. Stamtąd jechałem wzdłuż innej rzeki. Mnóstwo potoków przecina tę urozmaiconą okolicę. Ujechałem dziesięć mil na południe od Delatyna, a ciągle mi się zdawało, że jestem w najbardziej malowniczych regionach pyrenejskich. Wyniosłe góry, wysokie co najmniej na jakieś 4000 stóp, spadały stromo nad sam brzeg rzeki. W pewnych miejscach wąska droga z trudem przeciskała się pod skałami. Był tu wąwóz, któremu pięknością nie może dorównać żaden inny w Europie. Instynktownie zatrzymywałem się niezliczone razy, aby lepiej nasycić oczy otaczającymi mnie wspaniałościami. Góry były przyjazne, nigdy nie wydawały się groźne. Czasem szare skały wyzierały na zboczach, albo wieńczyły szczyty, ale na ogół całe wierchy były połączeniem różnych odcieni zieloności. Lasy pokrywały łańcuchy górskie, między którymi rzeka przemykała krętym korytem.

WKRÓTCE MÓJ podziw dla otaczającego mnie krajobrazu rozpłynął się wobec zachwytu nad ludem zamieszkałym w tamtejszych ślicznych wioskach. W Delatynie wjechałem na ścisły teren huculski. Odrazu zauważyłem malownicze stroje wieśniacze. Piękność kolorystyczna tych ubiorów może walczyć o lepsze z barwnością strojów węgierskich i siedmiogrodzkich. Jechałem z wioski do wioski, zmierzając do serca Huculszczyzny, zauważyłem wtedy, że strój ludowy staje się powszechny. W niektórych wsiach nie widziałem nikogo, ubranego w zwykłą zachodnio europejską odzież.

BYŁA NIEDZIELA, rano. Wybrałem z rozmysłem dzień ten na przyjazd między Hucułów. Lud dążył do kościołów, stanowiących niezmiernie malowniczy dodatek

do całego krajobrazu. Bez wyjątku wszystkie budowane są z drzewa, są nawet takie, przy których budowie nie użyto ani jednego gwoździa. Dzwonnice stoją oddzielnie w oddaleniu jakichś 50 jardów, drewniane, odznaczają się ciężkim, oryginalnym rysunkiem architektonicznym.



Śmieszka z Krzyworówni fot. Henryk Poddębski (Warszawa)

DZWONY DZWONIŁY niemelodyjnie, a chłopi podążali do kościołów. Zielona trawa na cmentarzu cerkiewnym z natłoczonymi na wąskiej ścieżce Hucułami, tworzyła obraz żywcem przeniesiony z opery. Jedyną różnicę stanowiło to, że tutaj każdy strój był jedyny w swoim rodzaju, a w operze statyści przyodziani są w kostiumy o charakterze mundurów. Jak to było do przewidzenia, stroje kobiet są barwniejsze i bardziej urozmaicone niż ubrania mężczyzn. Kolory były jaskrawe. Dziewczęta huculskie nie boją się silnych odcieni. Czerwień, zieleń i żółtość krzyczały ku mnie wszelkimi swymi odmianami. Spódnice osłaniają kobiety haftowanymi fartuchami, które same przez się są prawdziwą tęczą odcieni i arcydzie-

łem zręczności. Mówiono mi, że zrobienie pięknego naprawdę fartucha wymaga dziesięciu lat pilnej pracy i łatwo mi w to uwierzyć. Ale takie arcydzieło, raz zrobione, odznacza się trwałością i przechodzi w spadku z matki na córkę. Mody zmieniają się na Huculszczyźnie mniej więcej raz na sto lat, a nie kilka razy na rok jak gdzieindziej.

MĘŻCZYŹNI TEŻ nie obawiają się barw. Noszą albo kaftan z domowego sukna pięknie haftowany, albo kożuch — nawpół kurtkę, nawpół kamizelę. Czasem pięknie wymyta i wyczesana wełna nosi się na zewnątrz, czasem znów do środka, a wtedy na zewnątrz kożucha widzimy skórę, jaskrawo haftowaną. Ubiór mężczyzny uzupełniają spodnie w jaskrawo błękitnym lub pomarańczowym kolorze. Ta część stroju jedynie podlega na Huculszczyźnie wpływom zachodnim. Widziałem wielu mężczyzn, którzy porzucili już artystyczne portki swych praojców i zastąpili je zwykłymi struksowymi spodniami. Górną część ubioru zachowali nieskażoną żadnymi naleciałościami i ogólny efekt jest trochę rażący.

KIEDY DOJECHAŁEM do Mikuliczyna, zaczynało się właśnie nabożeństwo poranne. Ukryłem więc „George'a" za dzwonnicą i poszedłem do cerkwi. Czułem się strasznym intruzem, ale pewien staruszek, który był czymś w rodzaju portiera, przyjął mnie bardzo uprzejmie. Wnętrze kościoła przedstawiało tak wyjątkowy obraz, że niejeden reżyser z Hollywood mógłby pozazdrościć. Większość mężczyzn ugrupowała się na samym środku, dzierżąc chorągwie w rękach. Kobiety klęczały za nimi na twardej drewnianej podłodze, mężatki po jednej, dziewczęta po drugiej stronie. W kościele nie było wcale miejsc siedzących.

WYBRAŁEM zaciszny kącik i przyglądałem się nabożeństwu od początku do końca. Odbywało się zgodnie z barwną liturgią grecko ortodoksyjnego kościoła. Obecnie jednak w tych okolicach panuje kościół unicki. Gdy Polacy przed wielu wiekami zdobyli Ukrainę, usiłowali bezskutecznie narzucić wyznanie rzymsko-katolickie ludności. Wreszcie zawarto kompromis, ludowi pozwolono zachować greckie formy rytualne, ale kazano mu przenieść duchową stolicę z Konstantynopola do Rzymu. Tak powstał kościół unicki.

KSIĄDZ BYŁ człowiekiem młodym z typu oratora. Umiał pięknie czytać i wygłosił płynnie niezbyt długie kazanie. Myślę, że parafianie byli mu za to należycie wdzięczni, bo to przecież ogromnie męczy klęczeć lub stać przeszło godzinę na twardej drewnianej podłodze. Przypomniałem sobie znajomych, którzy usprawiedliwiali swą nieobecność na nabożeństwach w Anglii tym, że ławki w kościele są niewygodne. Pomyślałem, jakby się też zachowywali w greko-katolickim kraju.

NIE WIEM CZY widziałem kiedy coś piękniejszego nad widok cmentarza kościelnego, gdy zgromadzeni wyszli po nabożeństwie. Nie jestem zwolennikiem kolorów jaskrawych, wolę odcienia łagodne, ale jest rzeczą wprost zadziwiającą, jak miłe dla oka są te skojarzone zastępy barw świetnych w swym nasyceniu. Takich tęczowych zestawień nie widywałem nigdy przedtem, ani na Węgrzech ani nawet w Rumunii. Wszystkim było też do twarzy w tych strojach, jak zawsze w tradycyjnych strojach ludowych.

ZABAWNA SCENA rozegrała się pod cerkwią, zanim pobożni rozeszli się do domów. Naczelnik gminy odczytał listę powinności na następny tydzień i na kogo przypada kolejność ich wypełniania. Chodziło o świadczenia społeczne, jak utrzymywanie dróg itp. Potem odczytał listę tych, co zaniedbywali się w płaceniu podat-



Stary orzeł fot. dr Alojzy Oblas (Lwów)

ków. Tłum dorzucał swe komentarze przeciw każdemu z delikwentów, co wzbudzało ogólną wesołość. Możeby angielski Urząd skarbowy przyjął i opracował ten pomysł.

HUCULI SĄ piękną rasą. Mężczyźni są o cal albo może i dwa wyżsi od Polaków z równin i trzymają się dziarsko. Zwłaszcza młodzieńcy są wspaniałymi okazami rodzaju ludzkiego. Kobiety chociaż przysadziste, z twarzy są przystojniejsze niż siostry z okolic położonych więcej na północ. Kibić mają silną i szerokie biodra. Noszą swe liczne spódnice i fartuchy z wdziękiem i rozmachem. Specjalnie ładne

nie są, ale dbają o schludność i mają świeżą cerę. Opowiadano mi jako o rzeczy powszechnie znanej, że huculskie dziewczęta są niesłychanie piękne. W czasie mej podróży po Polsce znalazłem nawet dwóch przyjaciół, którzy mnie po cichu ostrzegli. Nie należy zadawać się z Hucułkami, ponieważ okolice, nie z własnej winy są zarażone plagą luesu — dziedzictwem po armii rosyjskiej, która spustoszyła ten kraj przed blisko stu laty, a do tej pory nie zdołano jeszcze wyniszczyć pozostałych chorób. Nie wiem czy to prawda, bo nie miałem ochoty rozpytywać. Zresztą nie bardzo potrzebowałem ostrzeżenia, bo nie jestem zapalczywym zdobywcą serc niewieścich.

DOLINA MA pewne pretensje, żeby ją uważać za letnisko. Na szczęście nie ma tam wielkich hoteli, istnieje tylko pokaźna ilość ładnych willi. Naturalne ponęty tych okolic są ogromne. Na południe i zachód ciągną się łańcuchy Karpat, obfitujące w malownicze doliny i wysokie, niebezpieczne wierchy. U stóp gór rozsiadły się wzgórza wyrzeźbione pracą rozlicznych strumieni w fantastyczne kształty. I w tym otoczeniu prosperuje miłe, pełne uroku plemię huculskie. Szkoda tylko, że dostęp do tego zakątka nie jest łatwiejszy. Obecnie zwiedza go corocznie kilkuset turystów polskich i czeskich. A może to nawet i lepiej. Zdarzyło się przecież, że lud niemniej dzielny od Hucułów zdeprawował się i zniszczył pod wpływem inwazji turystów.

III.

POCZĄTEK DOLINY, którą przebyłem od końca, to Worochta. Zjadłem tam spóźniony, ale doskonały obiad. Czułem, że zasłużyłem nań, bo nie tylko przejechałem około 50 mil, nie tylko uczestniczyłem w nabożeństwie i rozmawiałem z ludźmi, niemniej niż zwykle, ale jeszcze przyłożyłem ręki w ważnej potrzebie. W Tatarowie zastałem sytuację poważną. Paliła się chata. Mogłoby się zdawać, że to znowu nic tak ważnego, ale należy pamiętać, że chata była drewniana, sąsiednie domy również i wystarczyłby najlżejszy podmuch wiatru, aby pożar rozszerzył się na całą wieś. Jeśli się rozważy bezpośrednie, groźne niebezpieczeństwo pożaru w takiej wiosce, to ilość środków do zwalczania ognia jest zdumiewająco mała. Na szczęście w odległości 50 jardów płynęła rzeka, było też dużo wiader i wielka rzesza mężczyzn i kobiet zbiegła się na ratunek. Z zaciekawieniem śledziłem, jak kobiety stanęły do pracy na równi z mężczyznami, czego należało się spodziewać. Nim jednak chwyciły za wiadra, pozdejmowały odświętne szaty i pracowały w koszulach tylko i spódnicach.

AMATORSKA STRAŻ pożarna, chociaż bardzo energiczna, potrzebowała zorganizowania, więc chociaż ogień właściwie nic mnie nie obchodził, jako prawdziwy Anglik wziąłem na siebie to zadanie. W międzyczasie zajęła się już i druga najbliższa chata. Ludzie oburzali się trochę na mnie, gdy utworzywszy trzy łańcuchy ludzkich rąk i ramion rozkazałem lać wodę nie tylko na płonące już chałupy, ale i na najbliższe z ich otoczenia. Wiatr się wzmagał, a ja zastanawiałem się nad bohaterskimi zarządzeniami Karola II w czasie pożaru Londynu, przychodziło mi nawet na myśl czy nie należałoby zburzyć chaty najbliższej ognia. Na szczęście nie za-

szła potrzeba. Chociaż płomienie już lizały jej ściany, łańcuch ludzki działał z gorączkowym pośpiechem i ciągły dopływ wody niweczył zachłanność szerzącego się żywiołu. Niemniej przeto wypadek opisany jest jaskrawym przykładem, jakie nieszczęście zagraża ustawicznie tym wioskom. Dwie chaty spłonęły doszczętnie w przeciągu około pół godziny; nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby cała wieś zniknęła z mapy w ciągu połowy dnia. Podaję więc projekt Rządowi Polskiemu i władzom miejscowym, aby zajęły się poważniej sprawą zwalczania pożarów. Prawdopodobnie nie trzeba do tego pieniędzy na zakup nowoczesnych przyborów ratowniczych, bo chłopi stosownie przeszkoleni, mogą najskuteczniej walczyć z klęską ognia.

IV.

BITA DROGA, która mnie wiodła ze Stanisławowa, skończyła się w Worochcie pomimo, że tu właśnie jest centrum turystyki tej części Karpat. Stąd musiałem korzystać z drogi, nie oznaczonej na mapach Polskiego Klubu Automobilowego, a która widnieje na polskich mapach wojskowych jako wiejska droga trzeciej klasy. Drogę tę pokrywał kurz warstwą najwyżej dwu calową. W przyjemnym cieple popołudniowym z łatwością wspiąłem się na przełęcz Krzywopole. Co prawda droga była bardzo stroma i męcząca, bo musiałem pchać ,,George'a" najmniej ze cztery mile. Osiągnąłem wysokość około 5000 stóp. Ale krajobraz był ładny. Zbliżyłem się do poziomu szczytów górskich, droga biegła zboczem jednej z gór. Widok pod każdym względem wspaniały. Za sobą miałem główne łańcuchy Karpat w odległości jakichś trzech mil w linii powietrznej. Za nimi rozciągały się w nieskończoność wzgórza Czechosłowacji. Prosto przede mną, gdy rzuciłem przelotne spojrzenie, ujrzałem boczne odnogi Karpat, wtłoczone w granice Rumunii. Wielki las otaczał moją ścieżkę, łagodząc swym cieniem popołudniowy upał. Wioski pozostały za mną, tylko gdzieniegdzie samotne domki gnieździły się przy drodze. Przy każdym z nich nawoływano się na mój widok, jak na nadprzyrodzone zjawisko. Musiałem wyjaśniać kim jestem i co robię, jak umiałem najdokładniej. Często jednak było to dla mnie trudne z powodu trudności językowych. Chociaż ci ludzie do wojny byli Austriakami, zaledwie co czwarty mówił cokolwiek po niemiecku. Ale i po polsku mówiło niewielu więcej. Mówili swym starożytnym, odziedziczonym po przodkach językiem. A może to jest tylko dialekt.

PANORAMA z przełęczy, mówiąc językiem Baedeckera, była wspaniała. Jestem pewien, że jego zecerzy musieliby zużyć wszystkie czcionki z odsyłaczami, aby oddać temu krajobrazowi całą sprawiedliwość. Jak to się często zdarza w przełęczach, stanowiła ona granicę między dwoma całkowicie różnymi typami gór. Na zachodzie sterczały Karpaty, wznoszące ku niebu swe ogromne zielonawo - szare zbocza. Na wschodzie nagromadziły się skromniejsze lecz milsze wzgórza, przywodzące na pamięć raczej Wallię niż Szwajcarię. Doliny były tu szersze i otwarte. Przez całą drogę rzadko kiedy wzrok mój obejmował coś więcej niż jedną skalistą ścianę czeluści, teraz przed oczyma mymi biegły piękne, szerokie doliny. Góry były i tutaj bardzo wysokie, ale na ich zboczach trawiastych gdzieniegdzie tylko odcinała się ciemniejsza zieleń lasów. Piękna kraina rozpostarta przede mną spowijała się w tajemniczość i mroki. Na północy i południu dostrzegałem doliny

całkowicie osłonięte lasem — ciemne, ponure doliny podobne do tych, które stanowią urok wnętrza Schwarzwaldu.

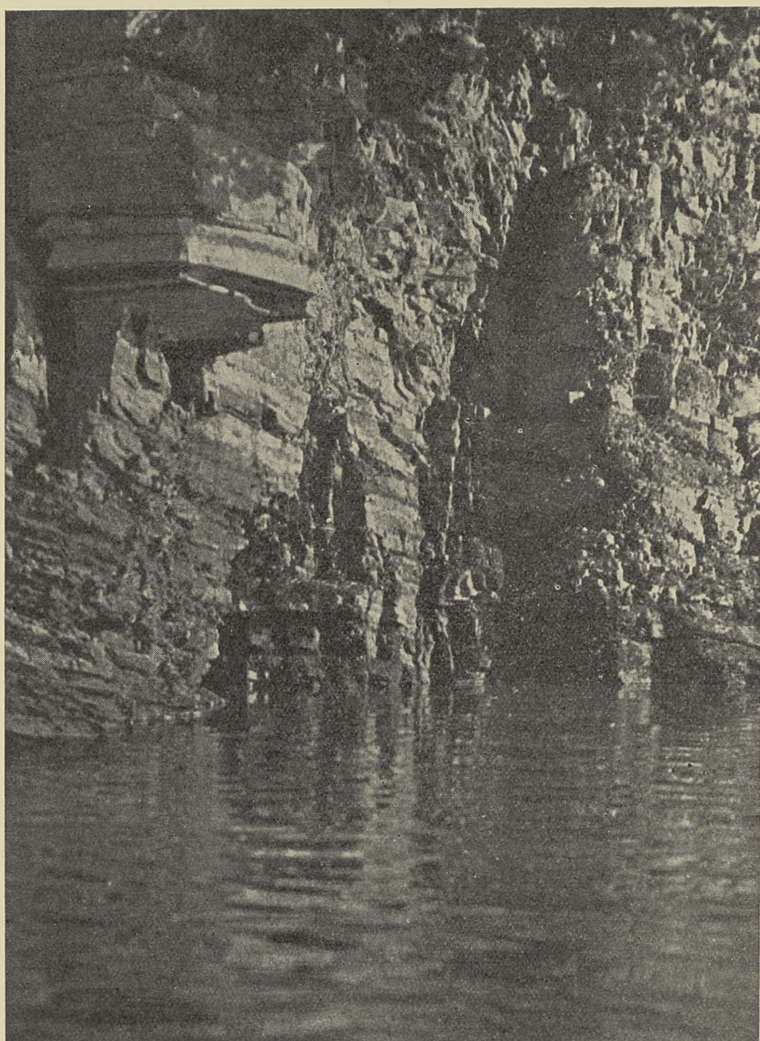
V.

ODLEGŁOŚĆ z Worochty do Żabiego wynosi około dwudziestu mil. W pierwszej części drogi musiałem ciągle pchać „George'a" pod górę, za to na przeciwnym zboczu pędziliśmy z szaloną szybkością. W mijanych domkach okazywano nam taką serdeczną gościnność, że nastał wieczór zanim dotarliśmy do Żabiego. Powiedziano nam, że znajdziemy tam gospodę, ale rozglądaliśmy się za nią napróżno. Żabie jest ogromnym zbiorowiskiem małych drewnianych domków. Uchodzi za miasto w okolicach, gdzie skupienie kilkunastu chałup zwie się wioską. Żabie jest dalej od świata niż jakiekolwiek miasto wschodniej Europy. Od kolei jest w każdym kierunku bardzo oddalone, a jedyną komunikację ze światem stanowi wiejska droga trzeciej klasy. Dowiedziałem się teraz, że gospoda stoi w Żabiem - „Slupeska", około czterech mil dalej. Nie była to jednak pospolita gospoda. Od drogi był mały szynk, a z tyłu w podwórzu stał budynek, coś w guście obory z kuchnią, obrośniętej zielenią. Ale to nie była obora, tylko właśnie gospoda. W Anglii nazwalibyśmy to wspólnym domem noclegowym, ale wątpię czy jakiekolwiek władze udzieliłyby koncesji. W budynku tym mieściły się dwie sypialnie, jedna z pięciu, a druga z trzema łóżkami. Powietrze miało swoisty zapach. Zapach ten przypisywałem ogromnym wieńcom suszonych grzybów, rozwieszonym na ścianach.

DNIA TEGO odbywały się w Żabiem tańce z jakiejś okazji. Huculi obchodzą swe uroczystości dwa razy na tydzień przez cały okrągły rok — byli więc oprócz mnie w gospodzie także inni goście. W rzeczywistości, gospodyni, pełna wdzięku starsza pani, która robiła wielki zamęt z mego powodu, była troszkę zmieszana, gdyśmy już mieli iść spać, ponieważ zamiast trzymać się proporcji nakazanej ilością łóżek w izbach, tworzyliśmy towarzystwo składające się z czterech panów i czterech pań. Wreszcie jedna z pań uprzejmie zgodziła się spać w naszym pokoju razem ze swym mężem.

PRZED PÓJŚCIEM na spoczynek zjedliśmy wielką ilość kurcząt przy blasku świec, poczem zaszliśmy do szynku, wreszcie na tańce. Naturalnie we wsi nie ma sali i lud tańczy pod gołym niebem. Dwóch energicznych mężczyzn usiłowało oświetlić zabawę jakąś lampą naftowo-gazową. Chcieli ją zaświecić i wyciągnąć na szczyt masztu, ale ze zwykłą w takich wypadkach złośliwością lampa gasła natychmiast, skoro się znalazła na wierzchołku słupa. Chłopi tak często podciągali ją i opuszczali, że wreszcie bloczek przetarł cienki powrozek, który się przerwał, lampa zaś spadła z hukiem. To, jak się zdaje, przyniosło tańczącym pewną ulgę. Tylko ja byłem rozczarowany, bo nie mogłem widzieć dokładnie tańca. Ludzie, którzy brali udział w zabawie, umieją wszystkie szczegóły na pamięć i ciemności im nie przeszkadzają. Huculski taniec ludowy polega głównie na tym, aby złapać pierwszą lepszą dziewczynę i popychać ją w właściwy sposób. Wykonanie tego nie jest trudne, a ciemność jest raczej ułatwieniem niż przeszkodą.

TAŃCE NA SZCZĘŚCIE skończyły się o dosyć rozsądnej porze, bo zaczynałem być senny. Powróciliśmy do schroniska. Pani z naszej partii zachowała się przy rozbieraniu taktownie, zdjęła tylko zwierzchnią spódnicę i wskoczyła do łóżka w reszcie garderoby. Jeden a może nawet dwóch mężczyzn nie zatroszczyło się wcale,



Skały nad Bystrzycą w Pasiecznej fot. Henryk Pisula (Bitków kop.)

aby zdjąć coś więcej ponad buty i kożuchy. Ogromnie zaciekawił mnie człowiek, który zajął łóżko najbliższe koło mnie. Przyglądałem mu się podczas tańców. Wyglądał na wędrownego kramarza, a jego wesoła, obrośnięta twarz podobała mi się nadzwyczaj. Nie był to jakiś zwykły kramarz lokalny, ale prawdziwy kramarz wędrowny. Mówił zadziwiającą mieszaniną języków, wobec której nawet Mitzi i cyrkowcy we Lwowie są niczym. Powiedział mi, że nie ma pojęcia jakiej jest narodowości, ani gdzie się urodził. Było w nim dużo z Cygana i coś niecoś z Żyda. Włóczył się już od tak dawna po Europie, że nauczył się potrosze każdego

języka i nie zdawał sobie sprawy, którym właśnie mówi. Chciałbym być dostatecznie biegłym lingwistą, aby móc spisać wszystko co mówił, bo mogłoby to stanowić znakomity materiał podstawowy dla tych, co pracują nad straszliwym zagadnieniem języka uniwersalnego. Ale moje możliwości ograniczały się do znajomości trzech języków europejskich i okruchów trzech dalszych, byłem jednak w stanie rozumieć jego wielojęzyczną gwarę bez wielkich trudności. Jeżeli nie mogłem zrozumieć jakiegoś słowa albo zdania, mówił po prostu inne, które natychmiast wyjaśniało mi jego poglądy. To był wspaniały typ. Już po dziesięciu minutach wiedziałem dokładnie, jak go klasyfikować. To był europejski Jeff Peters, jakby zstąpił na świat prosto z kartek powieści O. Henry'ego. Całe życie wędrował po Europie, zdobywając środki egzystencji własnym pomysłem. Nie wiedział też, ile ma lat, przypuszczał, że około czterdziestu, ale wyglądał znacznie młodziej. Nie troszczył się o jutro, jak długo miał dach nad głową w czasie niepogody a kęs chleba na zaspokojenie głodu, nie troszczył się o nic na świecie.

HANDLOWAŁ tradycyjną gościnnością wieśniaczą i dobrodusznością ludzi pracujących na roli. Był naciągaczem, spryciarzem, żył ze swych pomysłów i łatwowierności bliźnich. Jego pojmowanie bytu i metody podtrzymywania tegoż zmieniały się z roku na rok, z dnia na dzień. Przepisywał niezawodne kuracje na wszelkie choroby; jego apteczka składała się z dwuwęglanu sodowego, który w pewnych wypadkach może pomóc a nigdy nie zaszkodzi. W obecnej chwili szedł mu zupełnie dobrze handel wodą z Jordanu, którą sprzedawał w małych ilościach pobożnym wieśniakom z tych okolic. Posiadał dwie skórzane butle, które nabył (jak twierdził) w Hiszpanii, zawierające świętą wodę z Jordanu. Spytałem go, skąd bierze wodę i jak się urządza, aby mieć ją w dostatecznych ilościach. Musi przecież dużo sprzedać, żeby wyżyć. Ta sprawa niezrozumiała dla mnie była całkiem prosta dla Jeffa. Napełniał swe butle co rano w miejscowej rzece.

JEGO ŁÓŻKO stało tuż obok mojego i przez parę godzin, gdy już wszyscy usnęli, rozmawialiśmy po cichu. Pewne historie z jego opowiadań są po prostu cudowne, większość z nich niestety nie nadaje się do druku. Niektóre sposoby wydostawania pieniędzy od łatwowiernych są niezwykle pomysłowe. Wymagają jednak specjalnych przymiotów duchowych, aby je wprowadzać w czyn. Ten Jeff Peters nie był zwyczajnym oszustem. Był biedakiem i włóczęgą. Wędrował w łachmanach, boso. Nie dla niego były krętactwa, przynoszące tysiące funtów. Wesoło uganiał się za groszakami i był rad, gdy mu się udało. Komu to przynosiło szkodę? Jeśli chłopu potrzeba wody z Jordanu, czemu mu jej nie dostarczyć? Byłoby rzeczą bardzo kosztowną importować do Polski prawdziwą wodę jordańską; on, uchodząc za pielgrzyma, mógł dostarczać tego, co według wierzeń ludności uchodziło za wodę z Jordanu, i to było najważniejsze. Jak długo wierzyli w skuteczność tej wody, wszystko było w porządku. I doprawdy dużo jest racji w tym, co Jeff mówił.

VI.

MUSZĘ WSPOMNIEĆ, że przed mym wyjazdem do Polski ostrzegano mnie, że mogę się tam spodziewać nieproszonych gości w łóżku. Byłem nawet tak przezorny, że

zabrałem ze sobą Keatinga proszek na owady i inne środki zapobiegawcze. Dotychczas obawy moje były nieuzasadnione. Pomimo, że większość nocy spędziłem w chłopskich gospodach lub chatach, nie miałem dotychczas ani jednego ukąszenia do zanotowania. Dopiero Żabie pomściło się na mnie za ten anti-pchli rekord. Ze smutkiem muszę tu wyznać, że winę ponosi nie schronisko, ale Jeff Peters. Już zanim położył się do łóżka, widziałem jak zapuszczał rękę za pazuchę, wyciągał coś stamtąd i wytrząsał na izbę. Gdzie to padało nie wiem, ale znalazło jakoś drogę do mnie. Podając spiesznie swym współtowarzyszkom wiadomość, że oto jest świeża krew i cieńsza skóra niż tego stwardniałego włóczęgi, pchły przybywały do mego łóżka plutonami, kompaniami, batalionami... Cóż znaczyła puszka proszku Keatinga wobec takiej inwazji. Przebywały tę zaporę, jakby jej wcale nie było. Użyłem innych specyfików z podręcznej apteczki, łącznie z najbardziej smrodliwymi środkami antyseptycznymi. Zdaje się, że to szczególnie przypadło pchłom do gustu, bo nachodziły mnie coraz większymi gromadami. Po upływie godziny moja prawa noga wyglądała jak udziec barani, w godzinę zaś później podobniejsza już była do nadętej kiszki, ponieważ od ukąszeń obrzmiała i napuchła. Wstawałem ze sześć razy i rozpoczynałem morderczą rzeź. Były to te same pchły, które spotykałem na Bałkanach — ogromne bydlęta z potężnymi szczękami i nienasyconymi kałdunami. Spozierały na mnie z oburzeniem, gdy wydawałem na nie nieodwołalny wyrok nagłej śmierci.

WRESZCIE UZYSKAŁEM częściowo spokój zapomocą metody będącej moim własnym wynalazkiem; włożyłem zaświeconą latarkę elektryczną do łóżka pod prześcieradła. Pchły lepiej lubią wykonywać swe haniebne wyczyny w ciemności. Zdjąłem pyjamę i obracałem się tak, aby ciało moje było ze wszech stron wystawione na zbawcze promienie światła. Widoków na sen było mało, bo bardziej przedsiębiorcze pchle jednostki uwijały się ciągle koło mnie. Złorzeczyłem Jeffowi Petersowi, ale mu wreszcie przebaczyłem. Był więcej wart niż ukąszenie pchły. Podsunąłem mu nawet myśl, że jeśli mu kiedy zabraknie dowcipu, to może się pokazywać za pieniądze jako rezerwat pchli na użytek pchlich teatrów.

RANO PRZY WSTAWANIU z łóżka wywołałem pewien skandal. Zapomniałem, że w izbie nocowała niewiasta, a ja przecież zrzuciłem w nocy pyjamę.

VII.

JEFF PETERS opisywał mi lirycznie urok nocy spędzonej pod gwiaździstym niebem. Zapytałem go, dlaczego dzisiaj płacił za nocleg.

— PONIEWAŻ jutro będzie lał deszcz jak z cebra — odpowiedział w łamanych szczątkach dwunastu europejskich języków — nic mi nie szkodzi, gdy ze snu budzi mnie skowronek, ale nie lubię zimnej wody w postaci niespodziewanego prysznicu.

SPOJRZAWSZY na jego skórę pomyślałem, że tutaj zapuścił się niepotrzebnie w szczegóły. Powiedziałbym raczej, że nigdy nie lubi wody niespodzianej ani przewidzianej, ani zimnej, ani gorącej, wyjątek stanowi woda z Jordanu jako arty-

kuł handlowy. Miałem zresztą nadzieję, że się mylił. Cztery dni jasnej, słonecznej pogody zepsuło mnie. Ale Jeff ściągnął mnie z łóżka, przyprowadził mnie do okna. Po szybach spływały rozpryskujące się swobodnie lśniące kropelki deszczu.

JEFF ZJADŁ ze mną śniadanie, z początku chciał mi towarzyszyć do najbliższej wioski, ale teraz wyrzekł się tego zamiaru. Nie spieszyło mu się, może poczekać, aż deszcz przestanie padać; pieniędzy ma jeszcze co najmniej na trzy dni. — Nigdy nie urągaj pogodzie — pouczał — nie możesz jej zmienić. Jeśli pogoda nie chce ci iść na rękę, musisz ty jej ustąpić. Jeśli pada deszcz, Bóg daje ci znak, że chce abyś siedział w domu. — I dalej w tym sensie. Jeff zasługuje, aby go zaproszono na wygłaszanie kazań do Manchester'u.

SFOTOGRAFOWAŁEM go o piątej rano mimo mżącego deszczu. Rozstawałem się z nim z żalem — to był najmilszy towarzysz, którego spotkałem w ostatnich czasach. Zabrałem po nim z sobą sporo pamiątek. Z początku były spokojne, prawdopodobnie nasycone jeszcze krwawą ucztą nocną. Gdy zacząłem poruszać pedały roweru, obudziły się i przystąpiły do śniadania. Kręciłem się niemożliwie na siodełku, skrobałem się i kląłem. Nie jestem Spartańczykiem, a te pchły popychały mnie do bohaterskich czynów w gorączkowej żądzy morderstwa. Moja metoda była dość prymitywna. Ubranie moje było już wilgotne, za godzinę przemoknę do nitki, czemuż nie mam tego przyśpieszyć? Wyjąłem zatem zegarek i pieniądze z kieszeni, poszedłem do rzeki i zanurzyłem się w niej w ubraniu. Woda była zimna i płytka. Zatrząsłem się i położyłem na dnie, wysuwając tylko koniec nosa nad powierzchnię wody na wzór periskopu łodzi podwodnych. Około minuty i 15 sekund mogłem tak wytrzymać. Uznałem, że to musi wystarczyć do wypłukania najlepiej nawet wysportowanych pcheł. Niektóre z nich walczyły dzielnie o życie. Gdy się podniosłem, ujrzałem kilka trupów płynących z prądem. Mam nadzieję, że Jeff Peters nie wyłowił ich przy napełnianiu swych butli wodą z Jordanu.

BYŁEM UWOLNIONY od pcheł, ale tak zziębnięty, że wtargnąłem do najbliższego domostwa i poprosiłem, czy mogę się rozgrzać. Otuliłem się w prześcieradło, a tymczasem moje spodenki i koszula suszyły się przed ogromnym piecem w rogu izby. Prześcieradło było zgrzebne, a ja naturalnie, chociaż niesłusznie, kojarzyłem uczucie swędzenia ze wspomnieniami o pchłach. Gdy tak rozmyślałem czy wypada podrapać się w obecności mej gospodyni i jej rodziny, spłoszyły mnie przyjacielskie okrzyki. To przybyli moi znajomi, Hucuł z małżonką, którzy nocowali ze mną w schronisku w Żabiem. Byli rozczarowani, gdy ubrawszy się zobaczyli, że już odjechałem, bo chcieli mnie zaprosić do siebie. Mają samotną zagrodę koło Smelaneczyna. Teraz wygłosili uroczyście swe zaproszenie, a ja przyjąłem je bez wahania. Widziałem już wielu sympatycznych Hucułów i zaostrzyłem sobie apetyt na ich bliższe poznanie.

VIII.

KTÓŻ TO SĄ ci Huculi? Zwykle określają ich jako rusinów, rodzonych braci Ukraińców galicyjskich i Rusnaków z Czechosłowacji. Ale w rzeczywistości Huculi są etnicznie dużo ciekawsi od tamtych szczepów.

PIERWSZĄ WSKAZÓWKĄ było dla mnie nazwisko mojego gospodarza, wypowiedział je głośno, gdy pierwszy raz podał mi rękę: Czartoryski. Czartoryski jest nazwiskiem znanym w Polsce, w ciągu wielu wieków członkowie tej rodziny doszli do wielkiego znaczenia w kraju, byli bogaci i możni. Jak się to stało, że nazwisko to nosi skromny rolnik huculski?

ZADAŁEM TEŻ gospodarzowi memu pytanie: Czy jesteście spokrewnieni z książęcą linią tej rodziny?

— TAK — odparł — moi przodkowie osiedlili się tu już od wielu pokoleń, ale jesteśmy z tego samego rodu.



Rebra Wielkie g. Szpyci — fot. Jan Stawowczyk (Biała krak.)

HISTORIA ta była dla mnie przebłyskiem światła, co do zagadkowego pochodzenia Hucułów. Sięga ona burzliwych zamieszek w środkowej Polsce. Gdy szlachcic obraził króla, miał dwie alternatywy przed sobą: banicja albo śmierć. Więc szlachcic wybierał banicję, aby ujść przed gniewem króla. W Polsce było tylko jedno miejsce, gdzie mógł się schronić: góry na południu kraju.

ZBIEGŁA SZLACHTA znajdowała schronienie w dzikich wąwozach Czarnohorskich, inni znajdowali przytułek w Tatrach, gdzie do dziś żyją jeszcze legendy o szlacheckich zbójnikach. Byli to ludzie wielkoduszni, umieli też w najgorszych wa-

Złoty Szlak 4/38 — 7

runkach utrzymać się przy życiu. Nawet małymi grupami puszczali się na łupieżcze wyprawy po żywność. W wąwozach górskich były jaskinie, które zapewniały bezpieczne schronienie. To było wszystko czego mógł potrzebować mężczyzna, brakowało mu tylko jednego: kobiety.

CI WYWOŁAŃCY byli nieskomplikowanym elementem. Zwykłe prawo ich nie dotyczyło — stali poza nim. Ich zasady były proste — gdy potrzebowali czegoś brali, w konieczności zabijali właściciela. Tak więc ci panowie polscy napadali sąsiednie doliny, kradli rolnikom bydło i córki. Wedle tradycji dziewczęta lgnęły do tych mieszkańców jaskiń. Szły ze swymi szlacheckimi zdobywcami bardzo szczęśliwe, gotowały im strawę, dzieliły łoże i rodziły dzieci. A Huculi wywodzą się z tych sielanek.

NIE TRZEBA BYĆ etnologiem, aby zobaczyć niedorzeczność klasyfikowania Huculów jako zwykłych Rusinów. Mają obfitą domieszkę krwi ruskiej, bo porywane dziewczęta były Rusinkami, chociaż niektórzy opryszki docierali w swych zbójeckich wyprawach poza obecne granice Polski, do obszarów stanowiących dzisiejszą Rumunię. Było też wiele małżeństw mieszanych między rodowitymi Rusinami i potomkami banitów. Ale mimo wszystko, Huculi mają w sobie coś szlachetnego, czego innym brak. Można to poznać po ich chodzie spokojnym i pewnym, po ich obejściu grzecznym i pełnym godności. Nie ma w nich tych cech poniżających, właściwych wschodnim Słowianom.

WYSUSZYWSZY SWĄ garderobę, przygotowałem się do przyjęcia gościny u potomka polskiego szlachcica banity. „George" stanowił trudność, bo pan Czartoryski (może powinienem powiedzieć Lord Czartoryski) orzekł, że niepodobna wlec go na górę. Wziąłem więc tornister na plecy, „George'a" zostawiłem tam, gdzie był, i chciałem wyruszyć pieszo.

ALE NIE, prawdziwy Hucuł nigdy nie chodzi pieszo. Jest przywiązany do swego konia jak Arab. Przez długie pokolenia wyhodował rasę konia, specjalnie wyposażonego w cechy najlepsze dla jego celów. Koń ten, to małe, muskularne stworzenie o nogach silnych i pewnych, jak muł. „Pojedziemy konno!" — oznajmił mi Sir A. Czartoryski.

UPADŁEM NA duchu. W czasie wojny cieszyłem się sławą najgorszego jeźdźca w brytyjskiej armii. Raz zleciałem z konia podczas rewii, przypuszczam, że zasługiwałem, aby mnie postawiono za to przed sądem wojennym. Umiałem też spaść z konia, gdy ten stał nie ruszając się wcale, co było koroną moich wyczynów. Teraz oczy wyłaziły mi z orbit. Nie dlatego, że bałem się dosiąść konia, nie dlatego, że bałem się zlecieć. Ale jako Anglik obawiałem się, że będę wyglądał głupio i to wobec cudzoziemców, którzy mogliby sądzić o angielskiej kawalerii według moich uzdolnień.

KOŁO ZAGRODY do której się schroniłem, były uwiązane tylko dwa konie. Odetchnąłem, zdecydowany uchylić się przed ich zapobiegliwą gościnnością. Powziąłem silne postanowienie nie pozbawiać ich wierzchowca. Ale niestety! mój chwi-

lowy gospodarz wyszedł z szopy, prowadząc konia i zaproponował, że mi go pożyczy na tę wycieczkę. Przyparli mnie do muru, nie umiałem wymyśleć żadnej wymówki.

JEDYNĄ POCIECHĄ był mały wzrost konika. Mogłem przynajmniej zlecieć z wdziękiem, w czym miałem wielką wprawę po trzykrotnym upadku z „George'a" na złych drogach, a mój ciężar ze $33^1/_2\%$ większy niż najcięższego Hucuła wstrzyma rumaka od narowistych zapędów. Przypomniałem sobie Belgię i sygnał Nelsona, więc rozpędziłem się do skoku i rozciągnąłem się niezgrabnie na grzbiecie kuca.



Kamienny potwór g. Szpyci fot. Julian Krogulski (Kołomyja)

KONIK OBRÓCIŁ głowę i patrzył na mnie przerażony. Po czym spojrzenie jego powędrowało w kierunku własnego grzbietu, tak dziwnie uginającego się po środku. Wierzchowiec mój postanowił działać bezzwłocznie, kunsztownymi zygzakami zbliżał się do płotu. Ale moja pięta ugodziła go w żebro i z ponownym, pełnym wyrzutu spojrzeniem pogodził się z losem. Wyjechaliśmy gęsiego, dama na końcu. Szerokie spódnice zagarnęła koło siebie, a gołe nogi zwisały po obu bokach wierzchowca. Nie mieliśmy siodeł, do kierowania miałem tylko konopną uzdeczkę.

NA SZCZĘŚCIE jechaliśmy stromą ścieżką pod górę, nie można więc było jechać chociażby truchtem. Stępa przejechaliśmy podnoszącą się ciągle dolinę. Intensyw-

nie uprawne pola zostały za nami, tutaj kraj był sielankowy pasterski, czysty, prymitywny, gdzie niegdzie urozmaicony lasem. Jak okiem zasięgnąć wszędzie były tylko lasy i łąki. Charakterystyczne były płoty opierające się na żerdziach długich na 10 do 15 stóp. Objaśniono mnie, że budulec nie ma tu wartości, po prostu szkoda pracy obcinać słupy do normalnej długości.

DWÓR HRABIEGO Czartoryskiego okazał się całkiem odmienny od chat na równinach. Nie było tam w nieładzie ustawionych szop gospodarskich, obszerny dziedziniec otaczały drewniane budynki. Nawet wrota skonstruowane niemal pretensjonalnie, przypominały bramy cmentarne w Anglii. Wokoło domu ciągnął się sad ogrodzony płotem, jeżącym się długimi żerdziami. Jedynym śladem rolnictwa było małe pólko kukurydzy, a za domem niewielki ogródek warzywny.

DOM SKŁADAŁ SIĘ z czterech izb, prawdziwy pałac w porównaniu ze spotykanymi dotychczas jednoizbowymi chałupami. Ma się rozumieć, zbudowny był z drzewa. Komina nie było, dym z pieca ulatniał się przez otwory w pobliżu okapu. Umeblowanie było solidne, ale niewygodne. Oznaki arystokratycznego pochodzenia przejawiają się, być może, w dekoracji ścian. Huculi słynęli zawsze ze swych artystycznych uzdolnień. Na ścianach chat widziałem doskonałe rzeźby z drzewa, rozpowszechnione są też wyroby ceramiczne i mosiężne, ale te nie są pochodzenia tuziemczego. Hucułki tkają bardzo ładne cienkie dywany, używane przeważnie jako dekoracja ścienna, również malownicze stroje kobiet i mężczyzn są roboty domowej. Wszystko wykonano w domu, wszystkie stadia powstawania stroju, nawet farbowanie nici odbywa się na miejscu. Rozmaitość jaskrawych odcieni używanych przez Hucułów wzbudza podziw, czerwony i pomarańczowy cieszą się największą popularnością.

JESZCZE JEDNA cecha niezależnych upodobań Hucuła ma prawdopodobnie źródło w ich rycerskim pochodzeniu. Nie widziałem chat skupionych blisko siebie, jak gdyby szukających wzajemnej obrony. Hucuł buduje dom, gdzie mu każe fantazja lub rozsądek, chociażby o pół mili od najbliższego sąsiada. Małe miasteczko Żabie, liczące obecnie 2000 mieszkańców, zajmuje przestrzeń 600 kilometrów kwadratowych. Nic też dziwnego, że gdy Hucuł chce odwiedzić sąsiada, wybiera się do niego konno.

DZIEŃ SPĘDZIŁEM sielankowo. Zlustrowałem i pochwaliłem konie, bydło, owce, kozy i gęsi wice-hrabiego Czartoryskiego; głaskałem badawczą ręką grzbiety wszelkich stworzeń z wyjątkiem gęsi. Ongiś — tłumaczył mi mój gospodarz, przodkowie jego byli bogaci; ich stada i trzody były ogromne, prawdopodobnie zrabowane w sąsiednich równinach. Ale teraz przeważna część ich posiadłości przeszła w chciwe ręce żydowskie. — Co to za sekret żydowski — zapytywał — że inni ciągle pracują, a Żydzi ciągną z tego zyski. — Podczas mego pobytu przyszedł żyd kupić krowę. Uwłaczałoby to godności mego gospodarza, gdyby się miał targować z żydem, zrobiła to jego żona. Wmieszałem się do tego handlu, bo mój ojciec opowiadał nieraz o handlarzach bydła i ja teraz przypomniałem sobie niektóre jego wskazówki. Żyd zdziwił się niesłychanie, gdy wyjechałem z kilku najlepszymi kawałami z jarmarków bydlęcych w Leicestershire.

NAJWIĘKSZĄ CZĘŚĆ pracy na Huculszczyźnie wykonują kobiety. Jeszcze jeden oczywisty dowód arystokratycznego pochodzenia!

PO POŁUDNIU pojechaliśmy konno do najbliższych sąsiadów hrabiego Czartoryskiego, aby zaprosić ich na wieczór taneczny. Huculi tańczą korzystając z lada okazji. Co sobotę prawie i co niedzielę i w każde święto tańczy się we wsi. Świąt jest dużo, bo kościół unicki uznaje świętych i rzymskiego i greckiego kościoła. W dodatku śluby i chrzty są doskonałą okazją do ucztowania i tańczenia.

NASZE TAŃCE były improwizowane na prędce i nieformalne, odbywały się w napół wypróżnionej stodole. Orkiestrę stanowiły skrzypce i jakaś fletowa odmiana fujarki pastuszej. Muzyka była typowa — żywa, ale trochę monotonna. Większość tancerzy tańczyła boso na klepisku; przybrali się w odświętne stroje i w wieczornym oświetleniu widok był wspaniały: korowód pstrych spódnic fruwających dokoła potężnych bioder i jaskrawo haftowane kabaty, jaśniejące z dumą na męskich klatkach piersiowych. Brałem i ja udział w tańcach, które zresztą były bardzo łatwe; jestem zupełnym nieukiem, toteż rola moja ograniczała się do tego, że jakaś zamaszysta czarodziejka huculska obracała mnie w kółko po klepisku.

WSZYSCY NASI goście przybyli konno — cały szwadron kuców uwiązano w sadzie. Zauważyłem, że goście nie odjeżdżali pojedynczo, a nawet gdy ciemność zapadła, popadli w dziwne zdenerwowanie. Ten lud lęka się ciemności. Nie boją się wilków ani rozbójników, ale obawiają się złych duchów i czarownic. Pojechałem z pewną grupą, która mnie zaciekawiała, a reputacja Anglii bardzo podrosła w tej dolinie, ponieważ pewien Anglik nie bał się wracać po ciemku samotnie. Mój gospodarz i jego rodzina witali mnie po powrocie z nowym pełnym szacunku uznaniem. Co do mnie byłem uszczęśliwiony, ponieważ przejechałem się konno i nie zleciałem ani razu. Gdy już będę sławnym, trzeba będzie wystawić pomnik w tej zapomnianej huculskiej dolinie na pamiątkę tego dziwnego wypadku.

POWIEDZIAŁEM całkiem ceremonialnie „Dobra noc" księciu Czartoryskiemu i jego rodzinie. Ich pełne godności ukłony skłaniają mnie do ręczenia za szlachectwo ich rodu.

IX.

GDY WRÓCIŁEM na dolinę w Krzyworówni po „George'a", znowu padał deszcz. Kiepską drogę pokrywała gruba warstwa gęstego błota, a przede mną ciągnęło się strome zbocze. Ale miało być jeszcze gorzej. W jakichby nie było warunkach ciężko jest ciągnąć pod górę obładowany rower, ale wtedy ma się zawsze pocieszającą nadzieję, że na dół pojedzie się prędko. Gdy znalazłem się na przełęczy, miałem przed sobą drogę beznadziejnie złą, nie było możliwości żeby jechać po niej w ogóle, a szczególnie na wolnym kole. Ciężko pchać rower pod górę, ale popada się w rozpacz, gdy przyjdzie ciągnąć go na dół.

PRZYPOMNIAŁO mi się Zakopane. Zmarznięty i pożałowania godny, mijałem wspaniałe widoki podniebne. Gdy myślę o tym, przypominają mi się mgliste zjawiska

gór, uwieńczonych chmurami, dzikie wąwozy wspinające się ku szczytom, a na pochyłych ścianach dolin małe gardziele, po których spływają kręte potoki. Na pochyłościach w kierunku Jaworowa, są przestrzenie naprawdę majestatyczne, potrzeba tylko słońca, żeby były piękne.

KOSÓW, o godzinę drogi dalej, leży na krańcu kraju Hucułów, ale chce być ich stolicą. Miasto nie wyróżniające się niczym. Właściwie jest to tylko jedna ulica z nielicznymi bocznymi uliczkami, zabudowana walącymi się chałupami. Kościół typowy, dzwonnica stoi na wolnej przestrzeni, prawie na środku ulicy. Sklepiki są małe, wydają się ogromnie ożywione. To były pierwsze sklepy spotkane od trzech dni. Nie trzeba dodawać, że ich właściciele to prawie bez wyjątku Żydzi. Zapasy towarów w niektórych sklepikach są duże, zapobiegliwość kupiecka musi okazywać żywotność, ponieważ Kosów leży o dwadzieścia mil od najbliższej stacji kolejowej, a przeszło sto od najbliższego handlowego miasta.

W KOSOWIE mieszkają Huculi, Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Rumuni i Ormianie. Ci ostatni trudnią się garncarstwem, a wykonują swe rzemiosło na warsztatach niezmienionych od czasów biblijnych. Ich wyroby są surowe, ale artystyczne. Chciałem zabrać ze sobą kilka okazów, ale ,,George" groził mi, że je potłucze. Przybył do Polski, aby obwozić moją osobę, a nie jakieś garnki. Jeśli mi potrzeba dzbanków i misek, mogę je kupić u Woolwortha, gdy wrócę do domu.

TERAZ DROGA była lepsza, rościła pretensje, że należy do drugiej klasy i oprócz błota i deszczu nie miałem już innych wrogów. Za Pistyniem posiliłem się kanapkami wielkich rozmiarów. Gdy robię kanapkę, to już musi być spora; nie ma co bałamucić się dwoma kromkami chleba z cienkim plasterkiem szynki w środku, zwłaszcza gdy funt szynki kosztuje 10 penny. Dwie moje kanapki — a nikt nie powie, że jest głodny.

W ZWIĄZKU z tym posiłkiem, dziwne zdarzenie utkwiło mi w pamięci. Poszedłem do najbliższej chaty i poprosiłem o wodę do picia; chłop naciągnął jej prosto ze studni, była zimna, chociaż nie całkiem czysta. W każdym razie, jeśli oni mogą ją pić, mogę i ja. Kobieta podała mi kubek, była wysoka i niezgrabna, ale godność miała zaiste książęcą. Z trudnością mogliśmy się porozumieć, ale podziękowania są wszędzie jednakowe. Gdy ich opuszczałem, mężczyzna uchylił kapelusza, a kobieta się ukłoniła.

BYŁO COŚ uderzającego w tym ukłonie. Mimo jej niezgrabnej postaci, ukłon był elegancki i naturalny. Ukraiński wieśniak jest bardzo miłym poczciwcem, ale elegancki to on nie jest. W tym tak ślicznie wykonanym ukłonie były jakieś reminiscencje. Wysilałem mózgownicę, a nawet zawróciłem po przebyciu już ze stu jardów, tak byłem zaintrygowany. Wietrzyłem jakąś tajemnicę.

— Czy jesteście Polakami? — zapytałem po polsku.

— Nie — odparł mężczyzna — jesteśmy Włochami. Byłem wzięty do niewoli austriackiej i osiadłem tutaj po wojnie. Tutaj, we wsi, jest nas sześciu.

TERAZ ZROZUMIAŁEM: ten ukłon zrodził się na południe od Alp.

X.

ITALIA przypomniała mi się w godzinę później.

— Dokąd jedziemy, przyjacielu? — spytał „George", gdyśmy posuwali się naprzód w ulewnym deszczu.

— Kołomyja.

— A potem?

— Zaleszczyki.

— Co to jest? Gdzie to jest?

POKAZAŁEM „George'owi" mapę i wytłumaczyłem mu, że w całej Polsce zalecano mi zwiedzić Zaleszczyki, bo są takie nie polskie, ot! kawałek Italii, zabłąkany w Polsce — tak mi opisywano. — Południowe widoki, gorące słońce, białe domy i winnice — tak — kawałek Italii.

„George" przyglądał się mapie. — To daleko — mruczał. — Jedziemy do Horodenki, a potem trzydzieści mil wokoło, aby przebyć 10.

— „Nie" — sprzeciwiłem się — jedziemy prosto, dziesięć mil, przetniemy ten zabawny rożek rumuński.

— Nie możemy przecież, bo nie mamy wizy rumuńskiej.

— Cóż to szkodzi? Gdy przyjadę na granicę rumuńską, będę hałasował, jakbym dzwonił w kieszeni 20 lejowymi monetami w srebrze, i ręczę, że wielu strażników granicznych zginie na ten dźwięk.

— Ale ja nie chcę jechać do Rumunii — upierał się „George"; — będą nas zatrzymywali co pięć minut, aresztowali, jak w zeszłym roku. — Doprawdy obawy „George'a" nie były bezpodstawne. W ubiegłym roku zapoznaliśmy się ze wszystkimi posterunkami żandarmerii w południowej Rumunii. Ale mam nadzieję, że sława nasza nie dotarła aż do tego odległego zakątka. W każdym razie możemy wjechać na terytorium rumuńskie i opuścić je w ciągu godziny. Ale okolicznościowa uwaga „George'a" zastanowiła mnie.

— Kawałek Italii w taką pogodę! — zauważył sarkastycznie. Dużo przez to powiedział. Cóż jest wart południowy pejzaż bez słońca? Czym jest winnica w deszcz? Czyż naprawdę warto wlec się cztery godziny po rozkisłych gościńcach? Szarym chatom do twarzy w każdą pogodę, ale białe domki w deszcz działają strasznie deprymująco. Zdecydowałem się na pewną próbę.

PO PRZYBYCIU do Kołomyi poszedłem na pocztę i prosiłem urzędnika, aby wysłał do Zaleszczyk na mój koszt depeszę z zapłaconą odpowiedzią: czy u was pada deszcz? Zwiedziłem miasto, czekając na wiadomość. Nadeszła za godzinę: — Tak, pada ulewny deszcz. — Wyrzuciłem więc z mego programu Zaleszczyki i skierowałem się na północ w stronę Stanisławowa.

KOŁOMYJA LEŻY u podnóża Karpat. Na północ kraj jest niemal równiną, urozmaiconą lekkimi wzgórzami, na południe ciągną się nieskończone łańcuchy gór. Miasto jest niejednolite, jak i jego mieszkańcy; z wyjątkiem śródmieścia zabudowane jest nieodzownymi drewnianymi dworkami, nieraz strasznie pierwotnymi, nawet jak na wschodnią Polskę. Lokalne wstrząsy podziemne podminowały płytkie fundamenty, tak że się dachy pozapadały, a przecież takie ruiny ciągle są zamieszkałe.

Wpełzłem do jednej z takich ruder — nie można się było w niej wyprostować. Było to podobniejsze do psiej budy niż do domu, tylko żaden szanujący się właściciel psa nie umieściłby tam swego zwierzęcia ze strachu, że się budowla całkiem zawali. Jeden domek pękł dosłownie przez pół, a w obydwu połówkach byli jeszcze lokatorzy. Teraz dopiero wyjaśniło mi się, co często odczuwałem we Wschodniej Europie, że wygląd zaułka zależy od stopnia zrujnowania domostw.

KOŁOMYJA JEST miastem, co ma prawdziwe, porządne bruki. Z początku jej nie doceniałem, na pierwsze wejrzenie wydawała mi się bardzo senna, ponieważ przyjechałem tu w żydowskie święto i wszystkie sklepy były zamknięte. Spotykałem Izraelitów wychodzących z synagogi, niektórzy nieśli swe okrycia modlitewne, niektórzy paradowali w najświetniejszych kreacjach z dziedziny futrzanych czapek.

NAJCIEKAWSZYM człowiekiem w Kołomyi był żebrak kroczący przez miasto, obojętny na ciekawe spojrzenia. Grzbiet i piersi miał obnażone, tors lśnił jak bronz, ociekając strumieniami deszczu. To była prawdziwa rozkosz, patrzeć na jego ruchy cudowne przez swą atletyczną siłę. Ten człowiek miał ciało Johnny Weissmullera w szatach Jana Chrzciciela. Gdy mnie ujrzał, zatrzymał się, prawdopodobnie przeczuł bratnią duszę. Ucieszyłem się: oto ktoś, co mi zastąpi Jeffa Petersa. Wykrzykiwałem pozdrowienia we wszystkich znanych mi językach, nie rozumiał. Ja też nie zrozumiałem co mi mówił, to nie była mowa, tylko jakiś bełkot. Mózg idioty a postać Tarzana. Powiedziano mi, że jest nieszkodliwy. Spodziewam się — nie chciałbym stanąć mu w drodze, gdy popadnie w szał.

NIE BYŁO TO moje jedyne nieporozumienie językowe dnia tego. Wstąpiłem w Kołomyi do restauracji i zamawiałem jedzenie po angielsku, francusku, niemiecku i polsku. Podano mi tylko wytrzeszczone oczy, które nie są jadalne. Nie ufając swej wymowie, pokazałem stosowne wyrazy w moim polskim słowniku. Nikt nie rozumiał.

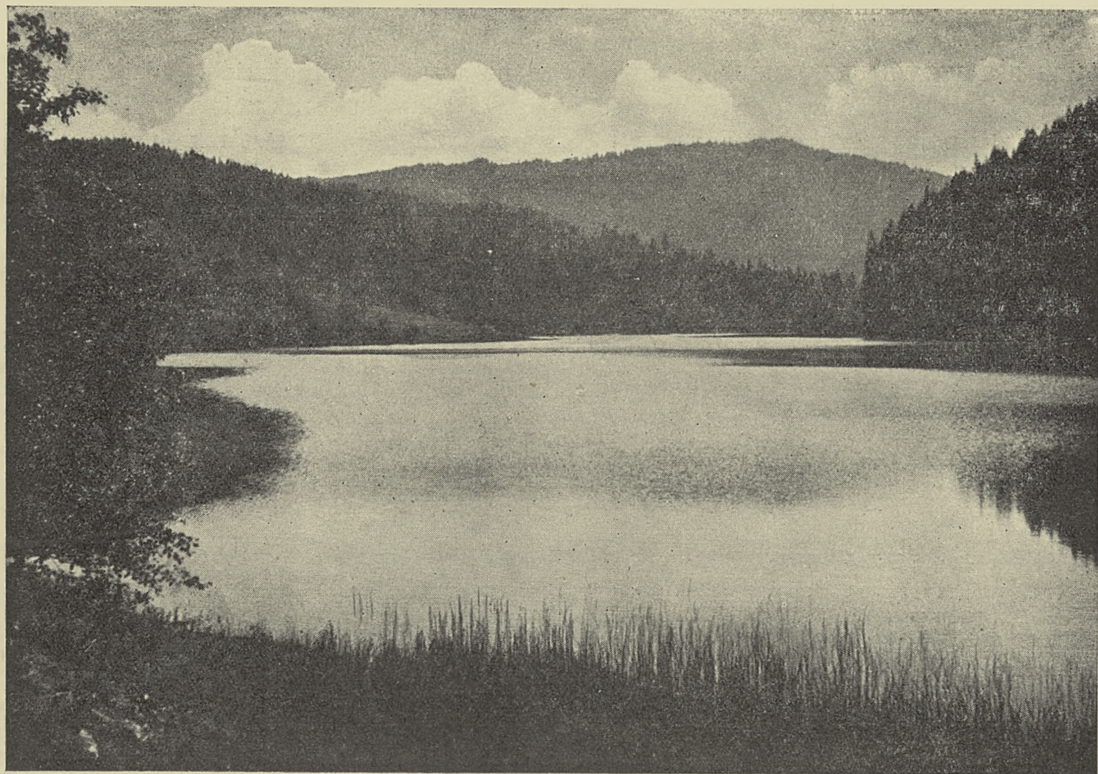
TEN WYPADEK był typowy dla europejskiego kraju z mniejszością narodową. Byłem w Polsce, ale właściciel restauracji nie rozumiał po polsku. Możecie państwo być pewni, że nie wyszedłem głodny. Istnieje jeszcze porozumiewanie się na migi. Na dźwięk ,,kluk, kluk, kluk" — zawsze zjawią się jajka. A w ostateczności poszedłem do kuchni i wyszukałem tam rzeczy, które miałem ochotę zjeść.

BYŁEM WIĘC na polskiej Ukrainie, wkrótce miałem się udać do byłego zaboru rosyjskiego. Od tej chwili moje trudności językowe wzrosły. Nigdy nie zabrakło mi rzeczy koniecznych, bo Niemcy okupowali ten kraj przez trzy lata i większość ludzi pamiętała jeszcze szczątki prostych i zasadniczych słów. W prowincjach, które zwiedzę w przyszłym tygodniu, będę językowo zależny od klasy wykształconej albo od emigranta, który wrócił z Ameryki. Na moje szczęście reemigranci stanowili niezbędny czynnik w każdej wsi.

Bernard Newman: »Rowerem po Polsce«
(przekład Janiny Zubrzyckiej)

SPŁAW DREWNA NA CZEREMOSZU

WARTOŚĆ LASU ZALEŻY nie tylko od położenia geograficznego, zamożności drzewostanów i jakości drewna, lecz jeszcze w wyższym stopniu od stanu środków komunikacyjnych. Przy znacznych odległościach lasu od rynków zbytu, złych drogach wywozowych, ogromne koszty przewozu wchłaniają znaczną część sumy uzyskanej ze sprzedaży drewna. W tych wypadkach jedynym środkiem podniesienia wartości drewna jest oczywiście zmniejszenie kosztów przewozu czyli obmyślenie jak najłatwiejszej i najtańszej komunikacji.



Jezioro Szybene fot. S. Kokurewicz

TYM ŚRODKIEM KOMUNIKACJI umożliwiającym przewóz drewna jako towaru masowego o niewielkiej stosunkowo wartości w stosunku do swego ciężaru i objętości są drogi wodne. Z powodu niedostatecznie jeszcze rozwiniętej sieci kolejowej w niektórych częściach naszego kraju, śródlądowe drogi wodne są jedynym możliwym środkiem wyprowadzenia drewna z głębi dalekich puszcz. Dlatego też pomimo licznych swych ujemnych właściwości były one i są dla nas pierwszorzędnymi arteriami komunikacyjnymi.

PRZEWÓZ DREWNA WODĄ, czyli spław należy nie tylko do najdawniejszych, ale i najtańszych środków przewozowych, uzależniony jest jednak od odpowiedniej ilości wody w rzekach i od kierunku, w jakim one płyną.

W UBIEGŁYM STULECIU SPŁAW drewna luźny, czyli dziki, był bardzo rozpowszechniony na rzekach i potokach karpackich. Polegał on na tym, że w czasie wyższych stanów wody, spowodowanych przez deszcz i tajanie śniegów, wrzucano drewno do wody, a przyniesione z wodą na miejsce przeznaczenia, chwytano przy pomocy budowli przegradzających łożysko, zwanych r e s z u t k a m i (od nazwy niem. Rechen). Aby utrzymać można było spław przez dłuższy okres czasu i uniezależnić od opadów deszczowych, budowano specjalne zbiorniki zwane k l a u z a m i, w których nagromadzone wody służyły do podniesienia poniżej klauzy zwierciadła wody choćby na kilka godzin do takiej wysokości, aby drewno mogło swobodnie płynąć.

TAKIE SPŁAWOWE URZĄDZENIA oparte były na wzorach alpejskich, gdzie spław l u ź n y już od bardzo dawnych czasów był z powodu braku innych środków transportowych szeroko stosowany na tamtejszych potokach górskich. Do roku 1927 spławiano jeszcze w ten sposób drewno opałowe w lasach żywieckich na Sole i jej dopływach w okresie wiosennych wyższych stanów wody, a drewno chwytano przy pomocy reszutek w Węgierskiej Górce.

TEGO RODZAJU SPŁAW powodował wiele szkód, nie dał się pogodzić z regulacją rzek i zabudowaniem potoków górskich, dlatego też został już obecnie zupełnie zaniechany.

DRUGIM RODZAJEM SPŁAWU jest w i ą z a n y, który polega na tym, że drewno spławia się złączone w tratwy, zaopatrzone w stery i kierowane ludźmi.

SPŁAW TEN jest i pozostanie nadal jednym z ważniejszych środków przewozowych drewna na rzekach nizinnych, natomiast na rzekach i potokach górskich również już wyszedł prawie z użycia z powodu licznych niedogodności.

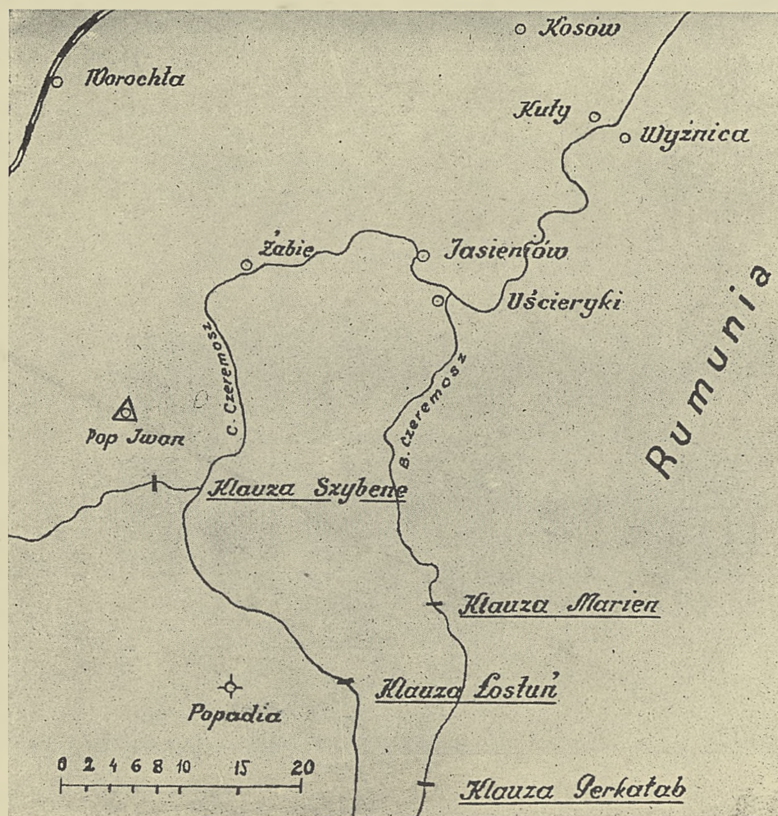
RZEKI I POTOKI GÓRSKIE w Karpatach nie są z natury spławne, dlatego dla ich uspławnienia potrzebny był cały szereg różnorodnych urządzeń hydrotechnicznych i hydromechanicznych, począwszy od zabezpieczenia brzegów przez zakładanie w miejscach niebezpiecznych skrętów opasek brzegowych, ze skrzyń kaszycowych zbudowanych, pogłębianie łożyska, rozbijanie skał w dnie oraz łagodzenie zanadto nagłych spadów. Ponadto potrzeba było budować klauzy celem podniesienia zwierciadła wody dla umożliwienia w ogóle spławu w okresie niskich stanów wody.

DZIKI, NIEOKIEŁZANY CHARAKTER RZEK i potoków górskich utrudniał oczywiście w wysokim stopniu całą manipulację spławową, a niejednokrotnie spowodowane przez powodzie szkody w urządzeniach spławowych uniemożliwiały na krótki lub dłuższy przeciąg czasu uruchomienie spławu, gdy tymczasem drewno zgromadzone gniło na składowiskach.

TE WSZYSTKIE NIEDOGODNOŚCI przy równoczesnym ogromnym postępie techniki ostatnich dziesiątków lat sprawiły, że zaczęto z korzyścią stosować w karpackich gospodarstwach leśnych nowsze i praktyczniejsze środki lokomocji, a prze-

de wszystkim kolejki leśne, które dzisiaj już dotarły do najbardziej dzikich i niedostępnych puszcz Karpat Wschodnich, wypierając tym samym spław na potokach i rzekach górskich.

Z LICZNYCH DAWNIEJ WYKONYWANYCH spławów przy pomocy klauz na rzekach karpackich i potokach górskich, pozostał obecnie jedynie spław na Czeremoszu, tej wspaniałej rzece górskiej. W dorzeczu tej rzeki, wśród ludności o zupełnie odrębnym obliczu etnicznym, zachowały się dotychczas stosunki o niezmienionej prawie formie, trwające tu od setek lat, owiane prawdziwą romantyką górską.



Plan sytuacyjny Czeremoszów.

SPŁAWAMI NA CZEREMOSZU transportuje się drewno pochodzące z trzech nadleśnictw państwowych: Hryniawa, Jawornik i Kuty o łącznym obszarze ponad 29.000 ha, dalej z lasów prywatnych fundacji hr. Skarbka, Baworowskich, gromadzkich i drobnych właścicieli o łącznej powierzchni około 35.000 ha, a wreszcie z lasów rumuńskich, leżących na prawym brzegu Czeremoszu, o obszarze ponad 40.000 ha, zatem razem około 104.000 ha.

LASY TE STANOWIĄ zespół świerka o charakterze przeważnie wysokogórskim, są zaś położone w miejscach trudno dostępnych i znacznie oddalonych od dróg wywozowych i kolei.

GŁÓWNĄ ARTERIĄ WYWOZOWĄ jest więc tu Czeremosz, który składa się z dwóch głównych strumieni, Białego i Czarnego Czeremoszu.

GŁÓWNY POTOK BIAŁEGO CZEREMOSZU zwie się Perkałab, a wytryska tuż pod samą granicą Państwa na stokach wschodnich Palenicy. Około 7 km poniżej źródeł swoich łączy się potok z rzeczką Saratą, a jeszcze niżej z potokiem Jełowiczowa, odkąd przyjmuje już nazwę Białego Czeremoszu.

W UŚCIERYKACH ŁĄCZY SIĘ Biały Czeremosz z większym i dłuższym Czarnym Czeremoszem, wypływającym blisko źródeł Perkałabu również na stokach Palenicy. Poniżej Uścieryk zjednoczony Czeremosz płynie dalej dość szeroką doliną, opuszczając między Kutami a Wyżnicą (Rumunia) Karpaty, wpadając poniżej Śniatyna do Prutu.

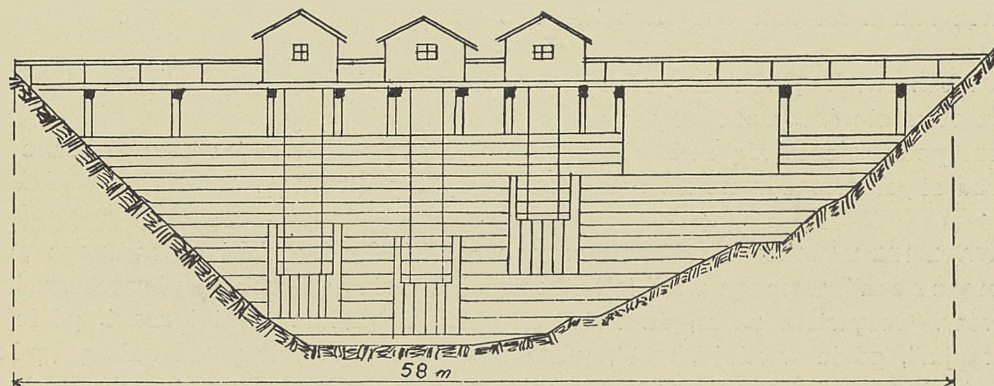


Klauza Szybene fot. S. Kokurewicz

OBYDWA CZEREMOSZE, podobnie zresztą jak inne rzeki Karpat Wschodnich nie są z natury spławne. Prócz umocnienia brzegów, rozbijania skał na dnie, łagodzenia zbyt gwałtownych spadów, trzeba było zbudować szereg klauz celem podniesienia zwierciadła wody na przeciąg kilku godzin do takiej wysokości, by tratwy złożone z dłużyc o średnicy 1 m mogły swobodnie płynąć.

KLAUZY (niemiecka nazwa — die Klause, jest pochodzenia włoskiego, chiude-

re = zamykać), są to budowle kaszycowe wykonane ze skrzyń drewnianych wypełnionych kamieniami. Skrzynie te o wymiarach przeważnie 2 m × 2 m są budowane z okrąglaków o średnicy 25 do 30 cm, a częściowo z belek dwustronnie ciosanych. Zasadniczą częścią składową jest wodoszczelna ściana zbudowana z belek ciosanych tzw. „krajnerów" o wymiarach mniej więcej 35 cm × 40 cm, uszczelnionych dokładnie mchem lub linami konopnymi impregnowanymi w karbolineum i listewkami. Do tej ściany przylega cały system skrzyń drewnianych (kaszyc) wypełnionych kamieniami.



Widok Klauzy Marien od strony zbiornika

W KORPUSIE KLAUZY ZNAJDUJĄ SIĘ trzy otwory, gruntowy, upustowy i przelewowy. Otwór upustowy służy do wypuszczania wody spławowej, otwór gruntowy otwiera się tylko przy bardzo wielkiej wodzie, lub przy zupełnym opróżnieniu zbiornika.

OTWÓR PRZELEWOWY służy do regulacji stanu wody w zbiorniku i odprowadzenia sekundowego dopływu. Zasuwy otworów zaopatrzone są wyciągami korbowymi lub dźwigniowymi. Ponadto na klauzach Marien i Łostuń znajdują się przepusty dla tratw zwane „f l u d r a m i". Przepusty te umożliwiają przedostanie się tratw przez korpus klauzy a tym samym spław drewna z terenów leśnych położonych powyżej obu tych klauz.

NA CZEREMOSZU BIAŁYM znajdują się dwie klauzy, M a r i e n o pojemności wody 290.000 m^3 i P e r k a ł a b o pojemności 180.000 m^3. W budowie jest klauza na potoku P r o b i n a w 13 km od ujścia jego do Czeremoszu Białego o pojemności zbiornika około 130.000 m^3.

NA CZEREMOSZU CZARNYM są czynne również dwie klauzy, Ł o s t u ń o pojemności 225.000 m^3 oraz na potoku S z y b e n e o pojemności 420.000 m^3. Zbiornik tej klauzy jest przepięknym jeziorem utworzonym przez usunięcie się części góry.

DLA SWEGO MALOWNICZEGO POŁOŻENIA górskie to jezioro jest często odwiedzane przez licznych turystów.

POWYŻEJ KLAUZY ŁOSTUŃ na górnym Czarnym Czeremoszu na wysokości 1.319 m n. p. m. jest w budowie klauza B a ł t a g u ł, której pojemność wynosić będzie 150.000 m^3 wody.

DŁUGOŚĆ DRÓG SPŁAWOWYCH jest, jak na stosunki górskie, wprost imponująca i tak: na Czeremoszu Białym od klauzy Perkałab do Uścieryk wynosi ona 55 km, a dalej do Kut na Czeremoszu już wspólnym 33 km, od Kut do Załucza, gdzie następuje rozwiązanie polskich tratw również 33 km. Na Czarnym Czeremoszu długość ta wynosi od klauzy Łostuń do Uścieryk 80 km, na potoku Szybene 4 km, ogółem zatem na obu Czeremoszach 205 km.

SPŁAW ODBYWA SIĘ w następujący sposób: naprzód wypuszcza się wodę z klauz przez otwarcie śluz upustowych przez co następuje znaczne, bo dochodzące do 50 cm podniesienie się zwierciadła wody w rzece, po czym na wezbrane fale spycha się nagromadzone na brzegach d a r a b y (tratwy).

PROWADZENIE DARABY na Czeremoszu przez flisaka huculskiego zwanego „k e r m a n y c z e m" wymaga wielkich sił mięśni, sokolego wzroku i pierwszorzędnych nerwów. Oczywista rzecz, że musi on znać dokładnie tajniki rzeki, gdzie jest „s t r o j a", gdzie w niej „h a t", gdzie skała może powstrzymać dalszą „p ł a w b ę", to też wiezie on spław aż do miejsca przystanku („p r y s t a w"), gdzie rzeka głębsza, szersza i spokojniejsza, i tam oddaje spław innym flisakom, a sam wraca z powrotem w górę rzeki.

OKRES SPŁAWÓW trwa przeciętnie od pierwszych dni maja do końca października, a nawet niekiedy do grudnia.

PRZERWY W SPŁAWIE mogą nastąpić w okresie wezbrań rzeki, wskutek uszkodzeń budowli spławowych, lub wreszcie może nastąpić czasowe zamknięcie łożyska przez rozbicie się szeregu tratw, przez co powstaje „z a h a t a".

WYPADKI TAKIE zdarzają się dosyć często spowodowane przez samych „kermanyczów" (kierowników tratw), nie stosujących się do wydanych zarządzeń kierownictwa spławów. Powstałe w ten sposób zatory (zahaty) powodują kilkudniowe przerwy w spławach.

POD WZGLĘDEM PRAWNYM gospodarka nawigacyjna unormowana jest w następujący sposób: na podstawie konwencji handlowej zawartej między Polską a Rumunią spławem drewna na Czeremoszu Białym i wspólnym (wspólnym lub granicznym nazywa się od Uścieryk w dół) zarządza komisja polsko - rumuńska, zaś na Czeremoszu Czarnym od 1933 r. Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie.

DYREKCJA LASÓW PAŃSTWOWYCH jako koncesjonariuszka spławu drewna na Czeremoszu Czarnym na przeciąg 10 lat ma obowiązek wznoszenia wszystkich budowli zapewniających spław, jako też utrzymywania personelu wodno - technicznego, dochody zaś czerpie z taks spławowych uiszczanych od wszystkich spławiających.

KOSZT SPŁAWU od 1 m^3 na 1 km wynosi 5—6 gr. Na koszt ten składa się wiązanie tratwy, urządzanie lądowisk i składowisk, opłata za prowadzenie tratwy i w końcu sama taksa spławaczkowa. Natomiast koszt przewozu 1 m^3 drewna na 1 km kolejką leśną waha się od 10—15 gr, przewiezienie zaś 1 m^3/1 km saniami kosztuje od 20—25 gr, a kołowo aż do 40 gr.

STRATY zato w materiale przy spławach dochodzą do 10% masy użytkowej, przy innych zaś transportach wyżej podanych wynoszą zaledwie 1—2%.

SPŁAW DREWNA, o ile chodzi o rzeki i potoki górskie, jest już dziś przeżytkiem



Klauza Łostun fot. A. Zieliński

z punktu widzenia techniki transportowej, utrzymującym się jedynie dzięki temu, że dorzecze obu Czeremoszów jest pozbawione dróg lądowych i kolei, a jedyną arterią komunikacyjną tego obszaru Karpat są koryta obu tych rzek i ich potoków.

W KARPATACH WSCHODNICH spław ustąpił miejsca kolejkom leśnym w dolinach obu Bystrzyc, Świcy i Łomnicy i nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później ta niesłychanie swoista osobliwość, stanowiąca jedną z największych i najromantyczniejszych atrakcji turystycznych zostanie zastąpiona bardziej nowoczesnym środkiem przewozowym, jakim jest parowóz.

Jan Toepfer

BIBLIOGRAFIA REGION. WOJ. STANISŁAWOWSKIEGO

BOTANIKA

Koczwara Marian. Alabastrowa góra pod Niżniowem. Artykuł: „Ziemia" rok 1939. nr 1 str. 26—29.

HISTORIA

Grabski Stanisław prof. dr. Ziemia Czerwieńska, odwieczna nierozerwalna część Polski. 8⁰ 32. Lwów 1939. Nakł. Zarządu Główn. T. S. L. Druk. Urzędnicza.

Jagmin Tadeusz. Polacy greko-katolicy na ziemi Czerwieńskiej. Lwów 1939. Nakł. Okręgu lwowskiego T-wa Rozwoju Ziem Wsch. 8⁰ str. 32.

Zawaliński Eugeniusz. Polska w kronikach tureckich, XV i XVI w. 8⁰ 57. Stryj 1938. Nakł. Zakładu Nauk Orientalistycznych Uniw. J. K. we Lwowie. Collectanea Orientalia, nr 14. Druk. Z. Olbrich — Stryj.

OSADNICTWO

Polskie osadnictwo historyczne, Szlachta zagrodowa na wschodzie Polski. Siedziby, liczba i rody. Cz. II, z. 1. 15 powiatów. Województwo lwowskie. Notatnik dla badaczy z materiałów sen. Władysława Pulnarowicza i innych, opracował dr Tadeusz Cieślak. Stan obecny szlachty zagrodowej we wsiach Czątkowice i Kołbajowice pow. rudeckiego, opracowała w terenie Eugenia Trillerówna. 4⁰ III, 129. Warszawa 1938. T-wo Rozwoju Ziem Wschodnich. Komitet do spraw szlachty zagrodowej. Sekcja Naukowa.

ZOOLOGIA

Mąciński Zdzisław. Studia zootechniczne nad owcą górską na Huculszczyźnie. Kraków 1938. Nakł. Polska Akad. Umiej. Sgł. Gebethner i Wolff, str. 3+102, tabl. 3, mapa 1.

Z PIŚMIENNICTWA REGIONALNEGO

Stanisław Sreniowski: **„Organizacja sejmiku halickiego".** — Studia nad historią prawa polskiego im. O. Balzera. T. XVI, zeszyt 3. — Lwów 1938 s. 166 i 1 tabl.

W latach 1931—1935 wydano w znanym wydawnictwie Aktów grodzkich i ziemskich akta sejmikowe halickie z lat 1575—1772. Wydawnictwo tych podstawowych do poznania dziejów Ziemi halickiej aktów umożliwiło z miejsca pracownikom naukowym podjęcia szeregu studiów, których owocem jest właśnie praca p. Stanisława Sreniowskiego o organizacji sejmiku halickiego. Praca p. Sreniowskiego, omawiająca jedno z bardzo ważnych zagadnień ustrojowych dotyczących przeszłości naszego regionu daje nam wiele niesłychanie ciekawego materiału do poznania przeszłości tej części Polski. Ziemia halicka to był przecież najbardziej na południe wysunięty zakątek Rzeczypospolitej, najbardziej narażony na ustawiczne najazdy i niepokoje i dlatego tym ciekawszą musi być odpowiedź na pytanie, jak w takich anormalnych warunkach biegł nurt życia pokojowego mieszkańców Ziemi halickiej, jak układały się stosunki polityczne, kulturalne i gospodarcze tej ziemi żyjącej pod ciągłą groźbą ruiny tego wszystkiego, co praca pokojowa zbudować zdołała.

Ziemia halicka od chwili jej przyłączenia do Polski, przez przeszło dwa wieki nie miała osobnego sejmiku; aż do r. 1563 szlachta halicka jeździła na sejmiki do dzisiejszej Sądowej Wiszni i dopiero w tym roku ze względu na odległość i znaczny wzrost ludności otrzymała Ziemia halicka swój własny sejmik. Dla wyjaśnienia dodamy, że ówczesna Ziemia halicka obejmowała trzy powiaty: 1. właściwą Ziemię halicką czyli powiat halicki sięgającą na południe mniej więcej po Otynię, 2. powiat kołomyjski sięgający aż do granicy po Śniatyn i 3. powiat trembowelski obejmujący środkową i północną część dzisiejszego województwa tarnopolskiego z wyłączeniem dzisiejszego okręgu czortkowskiego, który zaliczał się do województwa podolskiego. Na zachodzie sięgała Ziemia halicka po rzekę Łomnicę. Z tego to obszaru zjeżdżała się do Halicza prawie cała szlachta na obrady sejmikowe i ich właśnie organizacja jest przedmiotem rozprawy p. Sreniowskiego. Autor kolejno omawia skład sejmiku, jego rodzaje i władze, dalej kompetencje, miejsce, czas i tok obrad, wreszcie w ostatnich rozdziałach swej pracy omawia technikę obrad sejmiku i jego stosunek do sejmiku wiszeńskiego. Bardzo ciekawe ze względu na występujące

tam nazwiska są spisy marszałków sejmikowych, asesorów, posłów na sejm walny do Warszawy oraz deputatów na trybunał koronny. Pracę zamyka streszczenie w języku niemieckim oraz jeden wykres tętna życia sejmikowego.

W sumie praca bardzo cenna i wartościowa dla każdego, kto zajmować się będzie dziejami tej części Podkarpacia; ma ona również swoją wartość dla dziejów samego Halicza w dobie nowożytnej, okresu w dziejach miasta zupełnie nieopracowanego.

J. Z.

Łew Czaczkowśkyj — Dr Jarosław Chmilewśkyj: **„Kniażyj Hałycz".** (Z mapamy ta ilustracjamy). — Stanysławiw 1938, s. 77.

Halicz i jego okolica to prawdziwa kopalnia historii, która od szeregu lat w okresie przedwojennym była przedmiotem bardzo gruntownych badań i studiów historycznych i archeologicznych przez cały szereg najwybitniejszych uczonych polskich i ruskich. Badania te związane z takimi nazwiskami uczonych, jak: ks. Petruszewicz, Szaraniewicz, Czołowski, Zachariewicz, Łuszczkiewicz, Pełeński — wznowione zostały w dobie powojennej i doprowadziły do bardzo poważnych rezultatów uzupełniających badania doby przedwojennej i pozwalających na ostateczne wnioski i wytworzenie sobie właściwego obrazu o tym, czym był stary książęcy Halicz i jego okolica.

Badania te w okresie przedwojennym prowadziła głównie Krakowska Akademia Umiejętności i głos decydujący miała w tym względzie nauka polska. Po wojnie badania te kontynuują uczeni i miłośnicy przeszłości rusko-ukraińscy; znane są już szeroko w świecie naukowym badania wykopaliskowe dra Pasternaka, prowadzone z ramienia Narodowego Muzeum Ukraińskiego we Lwowie i o nich dokładniej pisać jeszcze będziemy na łamach „Złotego Szlaku".

Obecnie pragniemy omówić i zdać sprawozdanie polskiemu czytelnikowi z pracy badawczej dwóch innych badaczy, niezawodowych zresztą historyków, którzy z własnego impulsu, z amatorstwa, płynącego z umiłowania przedmiotu podjęli badania terenowe Halicza i okolicy z punktu widzenia historycznego i w ciągu kilkuletnich studiów i wędrówek terenowych po całej okolicy zbadali jak najdokładniej cały wspomniany teren i nie wdając się zupełnie w prace wykopaliskowe wygotowali jak najdokładniejszą mapę wszystkich znajdujących się na tym terenie zabytków przeszłości. Obejmuje ona w pierwszym rzędzie odtworzenie w przybliżeniu dawnego krajobrazu Halicza i okolicy, inwentaryzację grodzisk i mogił, tak z doby historycznej jak i przedhistorycznej, opisanie wszystkich tzw. cerkwiszcz czyli resztek fundamentów dawnych cerkwi, opisanie topografii grodu halickiego w Kryłosie i wszystkich okolicznych obronnych monasterów znajdujących się pod samym Kryłosem i w dalszej okolicy, charakterystykę podgrodzia oraz wszystkich okolicznych nazw topograficznych, wskazujących na istnienie tzw. wsi służebnych. Specjalną uwagę poświęcili obydwaj badacze systemowi fortyfikacyjnemu dawnego Halicza, znajdując ślady ich nie tylko w samym Kryłosie, ale w dalszej i bliższej okolicy w postaci resztek wałów i umocnień.

Tekst objaśniający mapę dał nam w rezultacie stosunkowo obszerną publikację, opracowaną przez dra Jarosława Chmilewskiego i Lwa Czaczkowskiego. Publikacja ta, oparta częściowo na wynikach badań poprzedników jak i własnych autorów, stanowić będzie poważną pozycję w literaturze poświęconej dziejom dawnego Halicza i bardzo cenne uzupełnienie do badań wykopaliskowych prowadzonych przez dra Pasternaka około fundamentów starej cerkwi katedralnej w Kryłosie i najbliższej okolicy. Szkoda tylko, że załączona w niektórych przynajmniej egzemplarzach jedna jedyna mapa jest mało przejrzystą i obejmuje tylko mały odcinek i to leżący najbliżej Kryłosa, opisywanego terenu. Podana w załączeniu bibliografia dobrana jest chyba tak na chybił trafił. Nie ma w niej fundamentalnej pracy dra Czołowskiego, który ma tę wielką zasługę w historii badań naukowych nad Haliczem, że jest pierwszym, który na właściwe tory skierował badania w tej dziedzinie.

J. Z.

Marian Gaudiak: **„Kniażyj Hałycz".** (Z ilustracjamy). — Hałycz 1938, s. 63.

Drugą publikacją o charakterze popularno-informacyjnym jest książeczka opracowana przez prof. gimn. Mariana Gaudiaka. Autor opierając się na dotychczasowych wynikach badań naukowych daje w swej publikacji krótki zarys dziejów Halicza do połowy w. XIV-go, dalej opisuje Halicz i okolicę pod względem topograficzno-historycznym, wreszcie w ostatnim ustępie zajmuje się pracami wykopaliskowymi w dobie przedwojennej i powojennej ze

specjalnym uwzględnieniem prac dra Pasternaka około odkopanych fundamentów starej katedry halickiej w Kryłosie. Na końcu publikacji dano 10 zdjęć fotograficznych oraz dwa plany. J. Z.

„Nasza Batkiwszczyna", Organ Ukraińskoho Krajeznawczo - Turystycznoho Towarystwa „Płaj" u Lwowi. — Za redakcjeju Stepana Szczurata. Perszyj ricznyk 1937, z. 12, Druhyj ricznyk 1938 z. 12. — Lwiw.

Od dwóch lat z górą wychodzi we Lwowie miesięcznik turystyczno-krajoznawczy pt.: „Nasza Batkiwszczyna" organ ukraińskiego Towarzystwa Krajoznawczego „Płaj". Mamy przed sobą dwa kompletne roczniki tego wydawnictwa, które pozwalają już na urobienie poglądu na charakter wydawnictwa, jego cele oraz sposób realizacyj zamierzeń wydawców i redaktorów. Celem „Naszej Batkiwszczyny" to propaganda turystyki i krajoznawstwa wśród społeczeństwa rusko-ukraińskiego, przy czym terytorialnie interesuje się redakcja ziemiami zamieszkałymi przez ludność ruską a więc Ziemią Czerwieńską, Wołyniem, Polesiem, sporadycznie tylko wychodząc poza wyżej określony teren np. Ruś Zakarpacką. Treść roczników wypełniają artykuły teoretyczne z dziedziny krajoznawstwa, opisy dawnych i współczesnych wędrówek i wycieczek, artykuły z dziedziny historii, geografii, architektury, archeologii, etnografii, toponomastyki, językoznawstwa, muzealnictwa, wszystkie mające charakter przeważnie opisowy i popularyzujący zdobycze naukowe. Niektóre artykuły mają wybitne znamię aktualności i stąd pokaźna ilość artykułów i opisów starego książęcego Halicza. Jeśli idzie o teren Podkarpacia, to zajmuje on stosunkowo bardzo poważną część w treści obydwu roczników. Poza wspomnianym Haliczem wiele uwagi poświęciła redakcja Karpatom, Dniestrowi a z poszczególnych miejscowości znalazły się tutaj opisy Stanisławowa, etnograficzne artykuły z Berezowa Niżnego, opis Mikołajowa nad Dniestrem, Skitu w Maniawie, pokuckiego Podola i wreszcie artykuł na temat nazwy wsi Siemiginowa w pow. stryjskim. Skromniej prezentuje się dział recenzyj, a raczej przeważnie krótkich sprawozdań z literatury głównie ukraińskiej. Poważnie za to wygląda dział ilustracyj, których dobór w niejednym wypadku jest bardzo staranny i ma nieraz charakter, w dosłownym tego słowa znaczeniu, źródłowy; przy papierze dostosowanym do celów ilustracyjnych dział ten wypadłby niewątpliwie jeszcze lepiej.

W sumie wydawnictwo redagowane celowo, bardzo wszechstronnie a przede wszystkim w sposób dostępny dla wszystkich. Polski czytelnik i krajoznawca znajdzie tam dla siebie wiele pożytecznego materiału, ale przy tej sposobności stwierdzić jednak musi, że redakcja tego wydawnictwa bardzo konsekwentnie uprawia taktykę przemilczania tego wszystkiego, co reprezentuje polskość i polski dorobek kulturalny na ziemiach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. J. Z.

Karpaty Wschodnie. Mapa Geologiczna. Podz. 1 : 200.000. Wielkość 117×105 cm. Wyd. Karpackiego Instytutu Geologiczno - Naftowego. Red. K. Tołwiński.

Historia badań geologicznych w Karpatach ma swoją odrębną kartę. Względy naukowe i naukowo-gospodarcze skłaniały zawsze geologów do kierowania swych zainteresowań w znacznie większym stopniu na teren Karpat, aniżeli na sąsiednie obszary.

Gdy z jednej strony, ciekawość uczonych budzi niesłychanie skomplikowana budowa naszych gór fałdowych, dostarczająca wielką ilość tematów trudnych do rozwiązania, to znowu z drugiej strony względy gospodarcze skłaniają instytucje przemysłowe, państwowe i prywatne do finansowania szeregu przedsięwzięć naukowych, żądając w zamian od teoretyków praktycznych wskazówek.

Wyniki badań czysto naukowych posłużyły do wyciągnięcia wniosków praktycznych. Z kolei doświadczenia osiągnięte w kopalniach dawały impuls do dalszych prac teoretycznych.

Dzięki tej koordynacji teorii z praktyką, w ostatnim dwudziestoleciu powoli zostaje wyeliminowany, nie odpowiadający współczesnym wymaganiom, przedwojenny Atlas Geologiczny Galicji, a miejsce starszych geologów zajmują stopniowo młodsi, przejęci teoriami płaszczowinowymi gór fałdowych, do których należą Karpaty. Jednakże z powodu braku odpowiedniej liczby pracowników, długie lata trzeba było czekać, nim otrzymaliśmy omawianą mapę geologiczną Karpat Wschodnich, będącą syntetycznym ujęciem opracowań cząstkowych, starszych i nowszych i przedstawieniem ich w jednolitej skali 1 : 200.000.

Uwzględniony obszar Karpat sięga od Dobromila na zachodzie, do granicy rumuńskiej na wschodzie. Prócz tego mapa obejmuje częściowo Podole i Opole, na zachód od linii Lwów — Brzeżany — Buczacz. Na południu nie trzymano się ściśle granicy Państwa, a tendencją redakcji było przedstawienie przebie-

gu śródkarpackiej depresji, którą wyznaczają warstwy polanickie i krośnieńskie. Na południe od depresji znajduje się płaszczowina magursko - czarnohorska, budująca najwyższy w tej połaci kraju grzbiet Czarnohory, i płaszczowina marmaroska, której część leżąca w granicach Polski była przedmiotem specjalnych wypraw naukowych, mających na celu zbadanie złóż rud manganu. Cały obszar, na północ od śródkarpackiej depresji, to Karpaty brzeżne, odznaczające się dużym bogactwem form i występowaniem ropy naftowej. Na północ od Karpat, na Przedgórzu, mamy kolejno mioceńską formację solonośną, dalej warstwy stebnickie a wreszcie utwory górnego tortonu i sarmatu, wiążące Przedgórze i Karpaty z monotonią mezozoicznego i paleozoicznego Podola.

Szczegółową interpretację mapy znakomicie ułatwia wydzielenie licznych poziomów stratygraficznych, przy zastosowaniu odpowiedniej skali barw i znaków.

Prócz tego na mapie uwzględniono wyniki i stan najnowszych poszukiwań ropy i gazu ziemnego, ważniejsze źródła mineralne, kopalnie i miejsca występowania niektórych kopalin, rurociągi gazowe, schroniska turystyczne i in.

Doskonałym uzupełnieniem jest schematyczna, orientacyjna mapka „Struktura Europy na Szlaku Bałtycko - Czarnomorskim" w skali 1 : 7,500.000.

Całość opracowania graficznego bez zarzutu.

Wydawnictwo to jest naprawdę imponujące, jeśli uwzględnimy współpracę szeregu instytucyj i wielu znakomitych geologów, których indywidualne studia złożyły się na tak imponującą całość. Tym bardziej jednak podkreślić należy pracę i wysiłek samego redaktora dra K. Tołwińskiego. **Z. Świetlik.**

Z. K a j e t a n o w i c z: **„Zarys monograficzny powiatu turczańskiego** oraz **opis miejscowości letniskowo-turystycznych"** Lwów 1938. Nakładem Związku Letniskowo-Turystycznego „Bieszczady" powiatów i gmin województwa lwowskiego. 8⁰ str. 64, 1 mapa, 40 fotografij.

„Po słowie" tej publikacji informuje, że „Związek letniskowo - turystyczny powiatów i gmin „Bieszczady" postanowił zapoznać szersze masy społeczeństwa z warunkami gospodarczymi, kulturalnymi i przyrodniczymi gór i podgórza województwa lwowskiego" i „przystąpił do wydawnictwa zarysu monografii, opisu miejscowości letniskowo - turystycznych oraz przewodnika po województwie lwowskim". Wydawnictwo to interesuje przede wszystkim ze względu na tę część naukową, która ma być „zarysem" monograficznym obfitego w letniska powiatu turczańskiego.

Skoro takimi zarysami monograficznymi mają być objęte przy tym i inne powiaty, warto zastanowić się nad realizacją tego ważnego zagadnienia wydawniczego, jakim jest wydanie monografij powiatowych. Dzieje podziałów administracyjnych uczą, że nie są one jedynie sztucznymi dla celów czysto administracyjnych utworzonymi jednostkami, lecz że odpowiadają one pewnemu zespołowi racji geograficznych, tworzących z danego regionu całość. Dlatego można mówić już na stopniu monograficznego ujęcia powiatu o odrębnościach fizjograficznych, etnograficznych i gospodarczych i znajdować je na tle ogólnego szkicu jednostki regionowo wyższej, jakim będzie część lub całe województwo. Autor ułożył więc plan tego omówienia tak, iż dał obrazy położenia i rzeźby terenu, rzek i potoków, podłoża skalnego i gleby, warunków klimatycznych, świata roślinnego, zwierzęcego, ludności, stosunków komunikacyjnych i gospodarczych, zarys historyczny życia i zwyczajów ludności, stosunków kulturalnych i społecznych, wreszcie turystyki i letnisk. Gdyby wykonaniu tego planu we wszystkich punktach towarzyszyła ścisłość i dokładność, możnaby uważać taki układ zarysu za wystarczający. Niestety w wielu szczegółach znać pośpiech i brak kontroli. Oto przykład: poco było podawać np. nazwy łacińskie roślin, skoro w 25 wierszach druku (str. 13 i 14) a 18 nazwach jest aż 20 błędów; rekord wzięła tomka wonna (zwie się Antoxanthum odoratum! a nie Autovanthum oebratum — 4 błędy), Aira jest flexuoza, a nie flexuora, Briza nie jest Briea, z Poa pratensis niedokładność zrobiła Pota pratencis; nawet zwykły krwawnik podany źle (Achillea, a nie Achillaea!), złotokwiat biały zmienił się z Chrysanthemum leucanthemum w Chrysanthemum leneanthemum, Rhinenthus zwie się w nauce Rhinanthus, szczeciogon (szantowaty) zwie się Chaiturus marrubiastrum (L.) Rchb., należy do rodziny Labiatae, i n i e j e s t wcale szarzyną, zwaną także pisanką (Nardus stricta — nie strieta!), która zresztą ma naukową nazwę — bliźniczka wyprostowana!

Arnika górska zwie się naukowo kopalnikiem górskim (Arnica montana L.) i bynajmniej nie jest gatunkiem właściwym j e d y n i e Karpatom Wschodnim, gdyż jest p o s p o l i t ą na

niżu północno-wschodnim, gdzie sięga ku południowi po Prypeć, Puszczę Białowieską i Suwalszczyznę, a wyspowo występuje w okolicach Łomży, Ostrołęki, Brodnicy na Pomorzu, Opatowa i w puszczy Niepołomickiej. Saxifraga aizoon Jacq. zmieniła się w Sexifraga airoon, a rojnik górski z Sempervivum w Semperrioru'm! — Tyle błędów nie może już chyba być usprawiedliwione przeoczeniem korektorskim.

Dwie sprawy językowe wysuwają się na czoło: genetivus od Bieszczady powinien brzmieć Bieszczadów (choć urabia się już błędne mówienie Bieszczad; zwracał na to słusznie uwagę H. Gąsiorowski w przewodniku po Beskidach Wschodnich — tom pierwszy, część I Bieszczady str. 49 — odsyłacz), nazwy zaś powiatów powinny zachować przymiotnikową formę: należy mówić i pisać po polsku powiat leski, samborski, turczański, drohobycki itd., nie zaś powiat Lesko, Sambor, Turka, Drohobycz itd., gdyż jest to germanizm, pozostały z austriackich „Kreisów": Kreis Lesko, Sambor, Turka itd.! Razi więc dołączona mapa powiatu turczańskiego, zatytułowana powiat Turka i podająca wszystkie sąsiednie powiaty w formie rzeczownikowej.

Opisy 14 miejscowości letniskowych zostały ułożone alfabetycznie; nie uważam takiego układu za praktyczny. Lepiej byłoby, idąc wzdłuż linii kolejowej, biegnącej z Sambora do Sianek, tak jak to czynią zwykle przewodniki, podawać miejscowości w ich kolejowej kolejności. Monografię zdobią reprodukcje fotografij; dziwi nieco podpis pod fotografią na str. 59: gdy opisujemy widok, dobrze jest nazwać go pięknym, skoro zwłaszcza chcemy zachęcić czytelnika do odwiedzenia miejsca, skąd widok się roztacza. Gdy jednak podajemy ten właśnie widok w reprodukcji i czytelnik nań patrzy, to budzi się w nim poczucie pewnego komizmu, gdy czyta zapewnienie: piękny widok na rzekę Stryj (a reprodukcja należy właśnie do mniej udanych!). Niepotrzebnie zabłąkała się także fotografia źródła „Poraj", bijącego w Matkowie, do Sianek (str. 51).

Te usterki nie umniejszają znaczenia ukazania się publikacji zawierającej zapowiedź dalszych. Potrzebne i użyteczne będą one bardzo, byle podniosły nieco poziom naukowy swej części monograficznej, skoro mają łączyć zadania praktycznej propagandy terenu z naukowym jego opracowaniem. **J. M.**

KRONIKA

Badania przedhistoryczne w województwie stanisławowskim. W r. 1937 dr Jarosław Pasternak przeprowadził na terenie województwa stanisławowskiego następujące badania: 1) z okresu rzymskiego w Strutyniu Dolnym (pow. dolińskim) — mogiły ciałopalnej późnorzymskiej w lesie „Dubrowa" (3 naczynia) i drugiej podobnej w lesie Ściło (6 naczyń i para strzemion); 2) z okresu wędrówek ludów w Dobrzanach (pow. stryjskim) — mogiły ciałopalnej, datowanej owalną sprzączką srebrną; 3) z czasów wczesnohistorycznych w Strutyniu Dolnym (pow. dolińskim) wzgórza „Zamczyszcza" między rzeką Czeczwą a potokiem Dubrownikiem z ceramiką IX — X w. oraz w Kryłosie (pow. stanisławowskim) — fundamentów katedry halickiej z połowy XII w. o pięciu nawach i trzech absydach (32,5×37,5), pośród nich sarkofag kamienny ze szkieletem męskim i grób niewieści ze „złotogłowiem" na czole (bibliografia przedmiotu: pierwsza wzmianka w miesięczniku „Z otchłani wieków" XII, 1937, 109 oraz w artykułach o tych wykopaliskach w „Zapiskach Naukowego T-wa im. Szewczenki we Lwowie" tom 154, 1937, w „Ruchu Słowiańskim" 1937, nr 11—12, w „Oriensie" 1937, listopad — grudzień i w „Slavische Rundschau", Pragá 1937, zesz. 6).

Z czasów nieoznaczonych dr Pasternak badał w Woli Dołhołuckiej (pow. stryjskim) — mogiłę w miejscu „za mogiłą"; na poziomie ognisko i jedna skorupka nietypowa prehistoryczna (epitaphium?).

Badania w Dobrzanach i Strutyniu oraz w Dźwinogrodzie (woj. lwowskim) prowadzone były kosztem Ministerstwa W. R. i O. P.

Mgr Irena Siwkówna w artykule pt.: „Tymczasowe wyniki badań terenowych w Bukównej, pow. tłumacki", wydrukowanym w zeszycie 5—6 za maj — czerwiec roku XIII 1938 miesięcznika „Z otchłani wieków" publikuje wyniki swych badań, prowadzonych wespół z adiunktem Zakładu Prehistorii U. J. K. we

Lwowie drem Marcjanem Śmiszko w Bukówney, pow. tłumackim. Przekopane kurhany należą do tzw. kultury komarowskiej, którą to nazwę przyjęto od największego i najlepiej zbadanego cmentarzyska kurhanowego w Komarowie, pow. stanisławowskim*). Kulturę komarowską, niedawno odkrytą opracowuje wyczerpująco prof. dr T. Sulimirski w Krakowie. Opracowanie to umożliwi poznanie całokształtu kultury, obejmującej swym zasięgiem południową część Małopolski Wschodniej, pozostającą pod wpływami idącymi z za Karpat.

(JM)

Notatki naukowe. — W sprawie występowania tchórza stepowego (Mustella Eversmanni Less) **w południowo-wschodniej Polsce.**

Roman Kuntze, współautor pracy: Roman Kuntze i Jan Noskiewicz „Zarys Zoogeografii polskiego Podola" (Lwów 1938. Nakł. Towarzystwa Naukowego we Lwowie dział II. — tom IV) zwraca się za pośrednictwem „Złotego Szlaku" do przyrodników i myśliwych z prośbą o wiadomości w sprawie występowania tchórza stepowego, który prawdopodobnie znajduje się i na tzw. Pokuciu stepowym, może więc podchodzić pod same okolice Stanisławowa (ścianka Wołczyniecka i Zadniestrze Bystrzycko - Olszanickie), gdyż były o nim pewne, zresztą niejasne, relacje z pod Horodenki. W okolicach Zaleszczyk wyróżniany jest tchórz „polny" od tchórza zwyczajnego, co odpowiada biologii Mustella Eversmanni Less. w stosunku do M. putorius L. (p. przypis do str. 482 na str. 538 cytowanej wyżej pracy). Lud wyróżnia tchórza jaśniejszego (stepowego, polnego), żyjącego tylko na polach, od tchórza ciemniejszego (zwyczajnego), żyjącego w pobliżu osad i wód. Gdzieniegdzie stosują do tego „polnego" tchórza nazwę melnyk (młynarz), gdyż ubarwienie jego jest jasne tak, jak gdyby był omączony; handlarze futerek płacą za skórki tego jaśniejszego tchórza mniej.

W posiadaniu cytowanego zoologa jest skórka otrzymana w r. ubiegłym z Zaleszczyk, która odpowiada istotnie gatunkowi M. Eversmanni, dla dokładnego oznaczenia jednak potrzeba mieć czaszkę ze względu na pewne cechy w kościach czołowych i w zębach, oraz więcej okazów skórek.

Prof. R. Kuntze pragnąłby posiadać przynajmniej 3 okazy skórek i czaszek (skórki zdjęte i wyprawione, czaszki w formalinie lub spirytusie w cenie 10 zł za sztukę). Ewentualne okazy z podaniem dokładnego miejsca złowienia lub zabicia zwierzątka należy nadesłać do Zakładu Zoologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego Warszawa, Rakowiecka 8 dla p. prof. dra R. Kuntzego. (J. M.)

Muzeum Pokuckie w Stanisławowie. Zbiory muzeum liczą obecnie około 6.000 numerów, obejmujących zabytki regionalne: rzeźbę ludową, przemysł drzewny, malarstwo na szkle (130 obrazów), bogatą kolekcję haftów i ceramiki ludowej; zabytki historyczne: kolekcję monet około 3.500 okazów) — w tym 1.500 polskich — oraz zbrojownię liczącą 1.100 numerów.

Muzeum zasilane jest stale darami. Największym darem w ostatnich dwu latach jest zbiór p. dyrektora Stanisława Sowińskiego, liczący 54 zabytków pokuckiej sztuki ludowej. Na specjalne wyróżnienie zasługują: trzy misy ceramiczne z niższego Pokucia, o przepięknych w ujęciu i kolorze motywach, a odnoszące się do połowy ubiegłego stulecia. Cztery bardzo piękne a dziś już tak rzadkie obrazy malowane na szkle. Pięknie zachowana stara skrzynia, oraz dwa stoły - skrzynie, stare, bogato zdobione z ciekawą ornamentyką symboliczną.

Nabyta przed dwu laty zbrojownia jest bogatą kolekcją, zebraną przez wybitnego znawcę broni i wojskowości, autora pierwszych prac z zakresu bronioznawstwa Zygmunta Hartleba.

Zbrojownia reprezentuje wszystkie zasadnicze typy broni, niemal z całego świata. Bogata kolekcja broni egzotycznej: z Brazylii, Oceanii, Afryki, Himalajów i Chin. Doborowy zbiór broni japońskiej, tak pod względem jakości, jako też różnorodności reprezentowanych typów, jedyny w Polsce.

Bogaty zbiór pięknej i ozdobnej broni wschodniej. Cenna kolekcja broni zachodnio-europejskiej i polskiej z niezrównanym zespołem rapierów z XVI i XVII w. reprezentowanych przez najwybitniejszych płatnerzy tego czasu.

Historyczny rozwój broni wojskowej od XVIII w. do chwili obecnej. Bogata kolekcja karabinów wojskowych (około 70 okazów) i krótkiej broni palnej. Reprezentująca niemal bez luki wszystkie systemy używane w woj-

---

*) W artykule mylnie podano: pow. halicki (w. 3 str. 70). Komarów leży w pow. stanisławowskim, powiatu halickiego zaś obecnie w ogóle nie ma (Przyp. Red.).

skach europejskich i pozaeuropejskich. Ciekawy zbiór części umundurowania i nakryć głowy, oraz wspaniały zbiór zabytków wojskowych polskich z czasów walk o niepodległość. Czapki, czaka, hełmy i odznaki mundurowe wszystkich jednostek Armii Polskiej, od organizacyj niepodległościowych pod b. zaborem austriackim, przez Legiony do Armii Polskiej w Ameryce, Francji i dalekiej Syberii. „Pierwsze mundury" Orląt Lwowskich — opaski na rękaw (11 sztuk) z nazwami odcinków „frontu": Góra Stracenia, Bema, Cytadela, Szkoła Marii Magdaleny i in.

Muzeum jest obecnie w długotrwałej reorganizacji. Podjęto pracę w celu uporządkowania, zinwentaryzowania i ekspozycji zbiorów w pięknych salach I piętra ratusza. Pierwszy etap pracy, a to: uporządkowanie i urządzenie zbrojowni, będzie ukończony już w niedługim czasie. Muzeum po zreorganizowaniu będzie obejmowało działy: dział prehistoryczny i przyrodniczy, zbiory regionalne - etnograficzne, dział historyczny m. Stanisławowa, zbrojownię i dział zabytków historycznych.

(B. H.)

Odznaczenia dra Stanisława Vincenza. Znakomity znawca Huculszczyzny, twórca monumentalnej pracy „Na wysokiej połoninie", członek czynny i wiceprezes Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Stanisławowie dr Stanisław Vincenz został odznaczony w dniu Święta Niepodległości jednocześnie Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta oraz Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury.

Geza Rozmus, znany malarz stanisławowski, wziął udział w X salonie Instytutu Propagandy Sztuki w Warszawie, gdzie na 155 artystów, biorących udział, znalazł się w liczbie tych 20, których krytyka warszawska wymienia jako najbardziej typowych, charakteryzujących współczesną sztukę malarską polską (por. „Kurier Warszawski" z dnia 20 XI. 1938).

P. Geza Rozmus, biorący udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Stanisławowie jako członek zarządu, został ostatnio odznaczony Srebrnym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury.

Zgon ostatniego powstańca 63 r. w wojew. stanisławowskim. Dnia 13 stycznia 1939 r. odbył się w Worochcie pogrzeb jednego z najstarszych weteranów powstania styczniowego w 1863 r. ppor. Seweryna Romana Golczewskiego, ostatniego już powstańca w województwie stanisławowskim.

Śp. ppor. Golczewski urodzony w 1844 r., jako 19-letni chłopiec bierze udział w porywie zbrojnym 1863 r., walcząc prawie na wszystkich ziemiach objętych powstaniem. Pod koniec bohaterskiej kampanii zostaje ranny, a następnie zesłany na Sybir, gdzie przebywał kilka lat. Po ucieczce z Sybiru, osiedlił się we Lwowie, pracując tam jako dyrektor fabryki tytoniu, a następnie w r. 1908 przeniósł się do Stanisławowa, gdzie mieszkał przy ul. Kilińskiego pod nr 28 (obecnie nr 40), by po odzyskaniu niepodległości osiąść na stałe w Worochcie.

Całe swe życie poświęcił śp. ppor. Golczewski pracy niepodległościowej, a następnie ideowej, krzewiąc ideę polskości na terenie Małopolski Wschodniej.

Pogrzeb tego cichego bohatera-patrioty zamienił się w wielką manifestację społeczeństwa polskiego w Worochcie. Uroczystościami żałobnymi zajął się miejscowy garnizon K. O. P. z kpt. Kamińskim na czele. Po mszy św. żałobnej odprawionej w miejscowym kościółku, zwłoki śp. weterana Golczewskiego przeniesiono z domu żałoby na cmentarz. Przed trumną niesiono na pięciu poduszkach wysokie odznaczenia Zmarłego, a trumnę nieśli na zmianę podchorążowie lotnictwa i oficerowie Legii Akademickiej.

Przy złożeniu trumny do grobu sprezentowały broń kompanie honorowe Korpusu Obrony Pogranicza, Szkoły podchorążych lotnictwa, Legii Akademickiej, Związku Strzeleckiego i P. O. W.

Nad trumną przemówili: imieniem społeczeństwa wójt gminy Worochta inż. Domański i ks. prob. Gutowski. W gorących słowach przemówił mjr Tabaczyński, składając Zmarłemu ostatni raport w imieniu Armii Polskiej.

W pogrzebie udział wzięło ponadto miejscowe społeczeństwo i ludność huculska.

Wśród niebotycznych szczytów karpackich stanął na straży polskości nowy kurhan, a w nim znalazł spoczynek człowiek, który całym swym życiem dobrze przysłużył się Polsce.

t. k.

Z działalności Towarzystwa Prawniczego w Stryju. Jeżeli indywidualna praca naukowa czy to twórcza, czy odtwórcza, polegająca na śledzeniu postępów nauki i jej szerzeniu, natrafia na prowincji na przeszkody w niektórych dziedzinach nauki nie do pokonania, to w większej jeszcze mierze odnosi się to do pracy naukowej zbiorowej.

Przeszkody w pracy indywidualnej, jakkolwiek tkwią w czynnikach zewnętrznych (oddalenie od ośrodków nauki, brak bibliotek i innych niezbędnych środków pomocniczych, izolacja, a więc niemożność bezpośredniej wymiany myśli z jednostkami o podobnych dążeniach) sprawiają, że zwykle ktoś, kto osiadł na prowincji, stracony jest dla nauki, choćby wykazywał wybitne zdolności twórcze i gorące umiłowanie wiedzy.

Tym poważniejsze są przeszkody w pracy zbiorowej; tu bowiem do powyższych czynników dołączają się nadto potężne hamulce w postaci inercji, obojętności na wszystko, co wykracza poza potoczne życie codzienne, niechęci do „zbędnych" wysiłków umysłowych. Wszystko to składa się na typowy klimat duchowy prowincji, a tkwią w nim też i ci, którzy przede wszystkim mają wobec nauki obowiązki, a więc przedstawiciele zawodów tzw. akademickich.

Jeżeli więc prowincja stać się ma, jeżeli nie producentem, to przynajmniej solidnym odbiorcą wiedzy i jej nowoczesnych zdobyczy, stać się to może w pierwszym rzędzie przez usunięcie, „przewietrzenie" opisanej atmosfery bierności w sprawach kultury i nauki.

Zadania tego podjęło się na skromnym odcinku Towarzystwo Prawnicze w Stryju. Założone w r. 1932 z okazji wprowadzenia w życie obszernych kodeksów jednolitego prawa polskiego, zakreśliło sobie jako najpilniejsze zadanie zaznajomienie ogółu prawników zgrupowanych w Stryju z nowym prawem przez wykłady i zebrania dyskusyjne. Było to zadanie niełatwe. Chodziło przecież o dziedzinę, która z natury rzeczy nie mogła być poprzednio naukowo opracowaną, a więc o dziedzinę, w której prelegenci i dyskutanci musieli pierwsze stawiać kroki. Równocześnie chodziło o zadanie o niezwykłej doniosłości praktycznej; nowe kodeksy miały po krótkotrwałej, bo niekiedy ledwo kilka tygodni trwającej v a c a t i o l e g i s wejść w życie.

Towarzystwo to, po spełnieniu tego w pierwszym okresie jego istnienia najbardziej naglącego zadania, w latach następnych rozwinęło oraz znacznie pogłębiło swą działalność w określonym tu kierunku. Przedmiotami jego zebrań były prelekcje i dyskusje nie tylko z dziedziny dogmatyki prawa, a więc przedstawienie prawa, które obowiązuje lub w najbliższej przyszłości ma obowiązywać, ale nadto z dziedziny systematyki prawa, a więc ujęcie pewnych zagadnień czy większych działów prawa z pewnego wyższego punktu widzenia, a w końcu z dziedzin pokrewnych, jak socjologii i innych nauk w ich związku z prawem i tegoż nauką.

Z biegiem lat przybywa Towarzystwu dalszy i to niezwykle zaszczytny, a praktycznie niezwykle doniosły kierunek działalności, a to opiniowanie projektów ustaw, ułożonych przez Komisję Kodyfikacyjną w Warszawie. Towarzystwo nie uchylało się od tego szczytnego, lecz jednocześnie bardzo trudnego obowiązku przyczynienia się choćby w drobnej mierze do kształtowania się nowego prawa polskiego. Towarzystwo opracowało i przesłało Komisji Kodyfikacyjnej swe uwagi do projektów Kodeksu Handlowego (w r. 1933), Przepisów wprowadzonych do Kodeksu Zobowiązań (w r. 1933), Prawa rzeczowego (w r. 1937), Prawa rodzinnego (w r. 1938). Uwagi Towarzystwa do projektów z r. 1933 znalazły oddźwięk w ostatecznej kodyfikacji odnośnych ustaw, co dla Towarzystwa więcej niż wszelkie formy uznania zewnętrznego znaczyć musi, gdyż w kodyfikacjach tych brali udział najpoważniejsi prawnicy polscy. Opinia Towarzystwa i jego członków do projektu Prawa Rzeczowego znalazła wyrazy uznania w „Gazecie Sądowej Warszawskiej", która przy tym zaznaczyła, że z pomiędzy wszystkich Towarzystw prawniczych jedynie Towarzystwo Prawnicze w Stryju opinię opracowało.

Towarzystwo od pierwszej chwili istnienia utrzymuje dla użytku swych członków czytelnię, zaopatrzoną w liczne czasopisma prawnicze, oraz bibliotekę, wyposażoną w najnowsze dzieła i wydawnictwa fachowe. — Biblioteka obejmuje obecnie 242 tomów. Zarówno czytelnia, jak i biblioteka służą nie tylko celom praktycznym jako materiał do rozwiązywania rozlicznych zagadnień nasuwających się w pracy sędziowskiej, czy adwokackiej, ale mają znaczenie o wiele donioślejsze, jako narzędzia pracy twórczej w nauce nowego prawa polskiego, rozbijające ów mur izolacji i bierności właściwej skupieniom odległym od ośrodków nauki. — Materiał naukowy, skrzętnie gromadzony w bibliotece od kilku lat istnienia Towarzystwa wystarczy do samodzielnych badań naukowych w wielu działach nowego prawa, dając każdemu chętnemu i do tego uzdolnionemu szanse przyczynienia się przez samodzielne prace naukowe do ugruntowania i pogłębienia myśli prawniczej polskiej.

Życzyć sobie należy, by w siódmym roku istnienia, w który Towarzystwo właśnie wkra-

cza, znalazło ono wszelkie warunki pomyślnego i harmonijnego rozwoju dla dobra Państwa jako placówka pozytywnej myśli państwowej, dla dobra kultury, jako jeden z jej ośrodków i dla dobra ogółu, dla którego prawo i poczucie prawne jest conditio sine qua non godziwego bytu. **M.**

Obchód 100 rocznicy urodzin Adama Asnyka w Stryju. Celem uczczenia setnej rocznicy urodzin wielkiego poety i założyciela T. S. L. Adama Asnyka, Zarząd Koła T. S. L. i Oddział Towarzystwa Polonistów w Stryju urządziły w dniu 15-go lutego 1939 r. w sali „Sokoła" uroczystą akademię, na program której złożyły się: Zagajenie prezesa Koła T. S. L. dra M. Muszyńskiego, referat prof. K. Czerneckiego o twórczości poetyckiej Asnyka, recytacja wybranych wierszy poety przez prof. A. Grzyba, deklamacje młodzieży, produkcje chóru „Gędźba", oraz muzyki wojskowej. Oryginalną dekorację sceny skomponował i wykonał prof. J. Grabowski. **(W.)**

I wystawa fotografiki pod hasłem „Piękno Huculszczyzny" zorganizowana w dniach 22 I. do 5 II. 1939 r. przez sekcję fotograf. Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego oddziału Czarnohorskiego w Kołomyi. Celem wystawy i poprzedzającego ją konkursu była propaganda Huculszczyzny oraz zachęcenie do fotografii krajoznawczej przy jednoczesnym podkreśleniu dobroci papierów fotograficznych krajowych. 273 prace, nadesłane przez 27 wystawców, rozpatrzone zostały przez Sąd Konkursowy w następującym składzie: przewodniczący — p. Tadeusz Szarewski starosta kołomyjski, członkowie pp.: Józef Damm, inż. Feliks Haczewski, Roman Szypajło, dr Stanisław Vincenz, dr Samuel Wagman i Tadeusz Wróblewski. Nagrodzeni zostali w kolejności nagród pp.: Zygmunt Szporek (Woronienka), Ernst Stewner (Poznań), Edward Czerny (Bitków), dr Stanisław Bialikiewicz (Lwów), Henryk Poddębski (Warszawa), dr Alojzy Oblas (Lwów), Julian Krogulski (Kołomyja), Henryk Pisula (Bitków), Jan Stawowczyk (Biała Krakowska), Iwan Paszkiewicz (Kołomyja), Jan Żebracki (Stanisławów), inż. Marian Żukowski (Grudziądz), Michał Łużny (Bitków), Leopold Szulc (Bitków).

Ofiarodawcami nagród w gotówce i przedmiotach byli: Zarząd główny i oddział P. T. T. w Kołomyi, Wojewódzki Związek Międzykomunalny „Karpaty Wschodnie" w Stanisławowie, Huculski Pułk Strzelców i inni. Wystawa przedstawiała się interesująco, a kilka zdjęć nagrodzonych fotografów zdobi ten zeszyt „Złotego Szlaku" (p. str. 39, 41, 45, 49, 51).

Sprostowania w zeszycie 3 „Złotego Szlaku". Powinno być: str. 16 w. 2 — „piórko mi się migoce" zamiast „pióreczko migoce", w. 17 tejże stronicy — „20-go" zamiast „19-go", str. 78 w. 34 szpalty lewej — „listopada" zamiast „września".

OD REDAKCJI

Zamykając ten pierwszy rocznik wydawnictwa, poświęconego przede wszystkim sprawom kultury i nauki polskiej na ziemi halickiej, Redakcja nie może nie dać wyrazu radosnemu stwierdzeniu, że dzięki zestawieniu wielu pomyślnych, politycznych i gospodarczych zjawisk, wzmogło się w tym właśnie roku w całej Rzeczypospolitej Polskiej zainteresowanie tą całą krainą, która, zakreślona dorzeczem Dniestru i nim przecięta, wyznacza swym południowo - wschodnim skłonem dla polskiej twórczości kulturalnej i gospodarczej drogę, z której polska racja stanu schodzić ani nawracać już nie powinna.

Stać więc na tym „Złotym Szlaku", tworzyć i budować, wiążąc i skupiając różnorodną treść w polską całość z całkowitym poszanowaniem i uznaniem dla każdej współtwórczej, byle bratniej myśli — oto i obowiązek każdego z nas, polskich pracowników naukowych i kulturalnych, od którego dalszego wypełniania nie może nic i nikt nas uwolnić.



